Nr. 55. Lwów, Niedziela dnia 15. Września 1878 r. Tom VII.



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

P. PREZYDENT MIASTA KRAKOWA

i sławetna jego rada.

Publiczności znany jest postępek p. Zyblikiewicza, który niby dla sprawy ogólnej a w rzeczy samej powodowany prywatną zemstą, zażądał wydalenia p. Wołowskiego z Krakowa jako obcokrajowca.

Czyn ten nikogo tak bardzo nie zadziwi, kto zna przeszłość p. Zyblikiewicza — rycerz to bowiem niezwyczajnej wiary i gdy potrzeba czegoś dokonać, w środkach nie przebiera; każdy dlań jest dobry. Wolny od wszelkich przesądów, szydzi sobie i żartuje z tego, co o nim plebs-kanalia powie. Wie, że cobykolwiek zrobił, zawsze znajdzie lokajów, którzy mu poklask dadzą, i panów, którzy go pochwalą jako dobrego sługę, i w nagrodę zrobią go członkiem akademii. Nieraz już jeden zadziwił on świat swemi czyny, a jest nadzieja, że i w przyszłości dziwić nie przestanie. Dziwnie to jest czynna i przedsiębiorcza natura. Potrzeba naprzykład usprawiedliwić barbarzyńskie dręczenie przez lat kilkadziesiąt zamurowanej żywcem kobiety, i p. Zyblikiewicz jako zręczny adwokat nie tylko usprawiedliwi i uniewinni, ale nadto dowiedzie, że między religią a miłosierdziem niemasz nic wspólnego. Wypada, przypuśćmy, poskromić żywe objawy narodowego patryotyzmu, nie mile odbrzmiewające echem w pustych piersiach stańczyków, p. Zyblikiewicz na to jak na lato. Wyręczając miejskiego pachołka, chwyta na gorącym uczynku poczciwego szewca i pakuje go do kozy, dając tem lekcyą austryackiej policyi, która w niesłychanem zaślepieniu chciała podobne objawy tolerować.

Lecz czynem nad czyny p. Zyblikiewicza, czynem, który jeżeli dotąd nie znalazł swego historyografa, to chyba dla tego, że p. Lisicki zajęty jest obecnie apoteozowaniem margr. Wielopolskiego, a p. Dębicki pisze estetykę po francusku, czynem tym, pełnym rycerskiego animuszu i szlachetnej wspaniałomyślności, jest wydalenie z kraju p. Wołowskiego, redaktora „Harapa." Kto jest p. Wołowski? Przed laty pięciu lub sześciu, nie wiemy już z jakich powodów opuścił on te części ziemi polskiej, które zostają pod rządem moskiewskim i osiadł w innych jej częściach, które zostają pod rządem austryackim. Opuścił on rodzinny zakątek w sposób nielegalny — gdyż bez paszportu, jest zatem wobec rządu austryackiego i jego organów — emigrantem.

P. Zyblikiewicz nie przyznaje mu tego charakteru, zapewne dla tego, że będąc sam prawym Polakiem i reprezentantem autonomicznej władzy, nie może w Polaku, z jakiejkolwiek on strony przybywa, uznawać emigranta; p. Wołowski bowiem czy w Królestwie czy w Galicyi, zawsze jest Polakiem i na polskiej ziemi.

Ktoby jednakże przyznawał p. Zyblikiewiczowi taki powód, ten by bardzo się omylił. P. Zyblikiewicz nie dla tego odmawia p. Wołowskiemu tytułu emigranta, że tytuł ten nie zgadza się z narodowym charakterem jego urzędu — gdyż Polak emigrantem może być tylko dla austryackiej policyi; — ale dla tego, że p. Zyblikiewicz pragnie dowieść światu, że p. Wołowski jest włóczęgą. A że jest włóczęgą — tego ma dowodzić najprzód to, że jest obcy, że nie ma domu, że nie ma stałego utrzymania.

Zastanówmy się nad tymi dowodami.

P. Wołowski jest obcy. Co to znaczy? czy jest on Niemcem, cyganem lub indywiduum innej jakiej narodowości? Nie, jest on tak dobrym Polakiem jak każdy radca miejski m. Krakowa, lubo z Krakowa nie jest rodem. Może on wprawdzie uchodzić za obcego, ale dla żandarma, który stojąc na granicy, zapytuje przechodniów o paszport. Może on być uważanym za obcego przez organa rządu austryackiego, który musi szanować pewne ustawy, chociażby takowe dla nas Polaków mogły nie mieć moralnej konieczności.

Żeby zaś p. Wołowski mógł być obcym dla prezydenta m. Krakowa i jego sławetnych radców, na to trudno się zgodzić; chyba że dla p. prezydenta et comp. również obcymi będą Mickiewicze, Słowaccy, Lelewele, jako ludzie przez rząd austryacki uznawani za obcokrajowców.

Lecz może p. burmistrz przez wyraz obcy rozumie to, że p. Wołowski nie jest rodem z Krakowa, w takim razie, ty sam, p. burmistrzu jesteś również obcy. Zdaje nam się wszakże, że ten wyraz obcy w innem zupełnie znaczeniu został przez ciebie, panie burmistrzu, użyty. Jakiem zaś jest to znaczenie, łatwo odgadnąć z komentarzów, jakie do niego dołączyłeś. P. Wołowski, powiadasz, jest bez domu i bez stałego utrzymania. Czy każdy u ciebie, p. prezydencie, jest włóczęgą, kto nie jest kamienicznym panem i nie ma stałego utrzymania?

P. Wołowski był słuchaczem medycyny — więc to dla ciebie mniej znaczy, p. prezydencie, niż być lokajem, a choćby pachołkiem u oprawcy, słuchanie bowiem medycyny nie daje stałego utrzymania, takiego nawet, jakiego dostarczają wyżej wymienione godności.

Jakkolwiek bądź ma się rzecz pod tym względem, p. Wołowski został wydalonym z kraju na żądanie p. Zyblikiewicza jako włóczęga i jako człowiek niebezpieczny dla m. Krakowa tak pod względem materyalnej jego pomyślności jak i pod względem moralnym i obyczajowym. P. Wołowski bowiem praktykował rzemiosło „literackiego bandytyzmu". Było to — jak widzimy — indywiduum bardzo niebezpieczne. Miałże go p. burmistrz cierpieć u siebie? Na to nie pozwalały mu filantropijne względy; świętym jego obowiązkiem było oddać go w ręce sprawiedliwości. Lecz p. Zyblikiewicz będąc czułego z natury serca, nie chciał gubić młodzieńca moralnie już zgubionego, i z całem umiarkowaniem naiwnego prostaczka zażądał od Namiestnictwa, by go wydalono z Krakowa. Jegoż to wina, że Namiestnictwo uwalniając Kraków od niegodziwca, nie chciało go narzucić innemu miastu i wydaliło go z kraju? On przynajmniej tego nie życzył.

Podziwiamy, p. burmistrzu, szczerość twojego serca i gołębią ducha prostotę. Pozwalamy sobie jednakże powiedzieć, że twa układna minka nie zwiedzie nikogo, że postąpiłeś sobie tym razem nie jako człowiek prostoduszny, ale jako pełen lisiej przewrotności, nie jako człowiek prawych dróg trzymający się, ale jako ten, który manowcami chodząc stara się zadość uczynić prywatnej swej zemście.

Będąc przekonanym, że p. Wołowski praktykuje literacki bandytyzm, powinieneś był zebrać dowody i zaskarżyć go do sądu. Była to jedyna droga, na której można było ukarać słusznie nikczemnika, a tobie zapewnić uznanie rzeczywistego dobroczyńcy miasta. Winieneś to był uczynić nietylko ze względu na zasadę sprawiedliwości, ale i ze względu na uczucia narodowe, które nie dozwalają korzystać z wyjątkowego położenia człowieka, położenia będącego prostem następstwem naszych nieszczęść narodowych. Prawda, że wprowadzenie tej sprawy na drogę sprawiedliwości nie dla każdego i nie w każdym interesie bywa dogodnem; łatwiej bowiem oskarżyć, niżeli dowieść; łatwiej powiedzieć, że p. Wołowski rozpisywał listy z pogróżkami, żądając pieniędzy od tych, którzyby nie życzyli sobie figurować w jego Harapie, niżeli zebrać kilka takich faktów i przedstawić je sądowi; łatwiej się pozbyć nareszcie człowieka, nie mającego żadnych praw, drogą wyjątkową, niżeli drogą legalną za pomocą sądu, który każdego ochrania swą opieką bez względu, czy ma jakie prawa polityczne lub nie. Ty, panie burmistrzu, jako człowiek co nie z jednego pieca chleb zjadał, wiedziałeś o tem i wybrałeś środek, na pozór legalny, gdyż poparty paragrafami ustawy, ale w rzeczy najniegodziwszy i najsromotniejszy. Bo jakżebyś sobie postąpił z człowiekiem, gdyby ten był nie emigrantem jak p. Wołowski, ale obywatelem austryackim? naturalnie, że zaskarżyłbyś go do sądu. Jeżeliś więc tak nie zrobił, to dla tego, że dla ciebie różnica między emigrantem a obywatelem austryackim to samo znaczy co dla organów rządowych. Dla tych ostatnich różnica ta jest moralnie konieczną, przez samo stanowisko jakie one zajmują, dla ciebie zaś jako dla Polaka i reprezentanta autonomicznej władzy, różnica ta moralnej konieczności nie ma i mieć nie może, chyba wtedy gdy się wyprzesz charakteru narodowego. Używając więc wyjątkowego środka przeciwko p. Wołowskiemu, wyparłeś się charakteru narodowego, ubliżyłeś swemu autonomicznemu urzędowi i zeszedłeś na stanowisko oschłego biurokraty.

Powiadasz, panie prezydencie, że p. Wołowski był włóczęgą, chociaż ten włóczęga słuchał medycyny, złożył pierwsze rygoroza i miał przystępować do dalszych. Utrzymujesz dalej, że p. Wołowski, zajmując się bandytyzmem literackim, jest nikczemnikiem w całem znaczeniu tego wyrazu, nie zasługującym na żadne względy, na żadne współczucie. Lecz gdzie są dowody na to? Dowodów tych nie złożyłeś ani sądowi ani sławetnej radzie miejskiej, która przecież przez szacunek dla samej siebie, powinna była o nie ciebie zapytać, a nie poprzestawać na gołosłownem z twej strony twierdzeniu. A jeżeli oskarżanie p. Wołowskiego o bandytyzm literacki jest tylko potwarzą wymyśloną dla zemsty prywatnej? Wiesz że, panie prezydencie, czem pachnie takie posługiwanie się potwarzą? Nazwać kogoś nikczemnikiem a nie dowieść, zabić kogoś na uczciwej sławie li przez zemstę za prywatną urazę, jest to dopuścić się takiej samej nikczemności, za jaką wygnałeś p. Wołowskiego. To też pamiętaj, panie prezydencie, że pokąd nie dowiedziesz Wołowskiemu zbrodni, o jaką go oskarżasz, potąd nie jego będziemy uważać za nikczemnika, i to tem słuszniej, że postąpiłeś sobie z p. Wołowskim jak ów, który kazując zamordować swego nieprzyjaciela, miał wyrzec: „Zabity pies nie kąsa.“

Tyś zabił Wołowskiego politycznie, pozbawiłeś go wszelkiej możności obrony i dopiero na tak bezbronnego rzuciłeś się z potwarzą i obmową.

Masz teraz, p. prezydencie, wóz i przewóz; albo dowiedź, że p. Wołowski jest bandytą literackim, albo zgódź się, że sam jesteś bandytą nie literackim, ale autonomicznym, bo wyzyskujesz stanowisko swego urzędu dla osobistej prywaty.

Powiadasz, że w wydaleniu p. Wołowskiego kierowałeś się względami na dobro miasta. Ejże! p. prezydencie, podejrzana to bezstronność. Wiadomo przecież, że byłeś jak najczęściej obrabiany przez Harapa, że figurowałeś w nim jako jeden z najpopularniejszych bohaterów; czyliż byłbyś tak wspaniałomyślnym, ażebyś puścił płazem własne urazy? Mamy na to dowody, że taka wspaniałomyślność nie w twojej naturze. Więc to nie obawa o pomyślność miasta, nie obawa o czystość obyczajów i moralności, wpłynęły na twe postanowienie. O twojej troskliwości o moralność miasta i jego obyczajność dałoby się wiele powiedzieć. Tym razem radzimy ci przejść się tylko o wieczornej porze około łazienek krakowskich.

Jeżeliś dawniej znosił napaści Harapa ze stoicką cierpliwością, to dla tego, że nie chciałeś sobie przysparzać kłopotu przed wyborami do Rady miejskiej; ale po ukończonych wyborach, które cię ustaliły na twem stanowisku, uważałeś za rzecz zbyteczną bawić się dłużej w stoickiego filozofa. A chociaż wiedziałeś, że sprawka ta, tak po wyborach jak i przed wyborami wywoła przeciwko tobie chwilową burzę, to wiedziałeś także, że z tej chwilowej burzy piorun na cię nie spadnie. Jakoż przewidywania twe ziściły się ku twemu serdecznemu zadowoleniu. Rada miejska zażądała od ciebie wyjaśnień — tyś jej ich udzielił, i ona przyjmując je w gołosłownem ich znaczeniu, udzieliła ci nie tylko absolutoryum, ale nawet uznanie.

Biedna ta rada! cóż ona mogła innego zrobić! Miałaż ona żądać od ciebie dowodów, że Wołowski rzeczywiście był włóczęgą i nikczemnikiem? A gdybyś tych dowodów dostarczyć jej nie potrafił? Położenie jej byłoby nie lada; bo jako areopag rozstrzygający w ostatniej instancyi sprawę tak drażliwej natury, nie mogłaby ona bez dowodów uznać Wołowskiego za nikczemnika; ale za to musiałaby za nikczemnika uznać kogo innego. Ty wiesz, p. prezydencie, kogo? A to byłaby przecież nie lada kolizya dla rady miejskiej, uznać kogoś za nikczemnika, a z tem wszystkiem być zmuszoną nie tylko go cierpieć wśród siebie, ale nad sobą. Bo przecież rada miejska nie może swemu prezydentowi dać dymisyą, gdyż jest zatwierdzonym przez cesarza; nie może także zmusić swego prezydenta do podania się do dymisyi, gdyż to zależnem jest od dobrej jego woli, a na twą dobrą wolę, p. prezydencie, wie rada miejska z doświadczenia, że tak bardzo liczyć nie można. Cóż jej pozostawało? oto, zsolidaryzować się z czynem twoim, p. prezydencie, i wybryk twej prywaty uzacnić choć pozornie zbiorową wolą ojców miasta. Czyli innemi słowy: ażeby zmniejszyć twoją winę, rozłożyć ją na tyle głów ile jest rajców, będąc tego mniemania zapewne, że nikczemność im na więcej części zostanie podzielona, tem łatwiej będzie mogła ujść w oczach prostaczków za prawość i uczciwość. Zresztą gdyby rada miejska miała jakiś interes w bronieniu p. Wołowskiego, możeby była postąpiła inaczej, ale cóż za interes bronić obcego, który nie ma kamienicy i nie płaci do rady miejskiej choćby tyle podatku, ile jej płaci szynkarz od ilości rozpajanych co dnia nędzarzy.

P. Wołowski nie tylko że nie przynosił miastu żadnej korzyści, ale był dlań niebezpiecznym, chociażby z tego powodu, że założył sobie dowieść w swoim Harapie, że „człowiek, który kradnie, więcej jest godzien szacunku niż p. Zyblikiewicz“. A to byłaby dopiero chryja, gdyby rzeczywiście potrafił tego dowieść, i świat cały się dowiedział, że miastu Krakowowi, sławnemu z tylu wielkich ludzi, przewodzi jako burmistrz, człowiek od którego ten co kradnie, jest jeszcze zacniejszym. Nie byłobyż to ostateczną hańbą dla miasta? a więc na gwałt potrzeba się ratować i dla zachowania pewnego decorum poświęcić p. Wołowskiego chociażby najniewinniejszego a ocalić pana burmistrza, chociażby na hańbę zasługującego.

Wyrażając rada miejska swe uznanie p. Zyblikiewiczowi, postąpiła sobie jak jej rozpaczliwe położenie podyktowało, ale nie postąpiła jak jej nakazywało sumienie i poczucie zbiorowej godności. Zsolidaryzowała się więc z winą p. Zyblikiewicza, i wraz z nim musi teraz dźwigać wszystkie konsekwencye, jakie nikczemność za sobą pociągnąć może.

To jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze w całej tej sprawie inna strona tak bolesna, że jej dotykać brak prawie odwagi. Ciało zbiorowe polskie, polska władza autonomiczna, usankcyonowała wydalenie rodaka z Ojczyzny. Postępku tego nic usprawiedliwić nie zdoła, nawet nikczemność p. Wołowskiego, gdyby się ta okazała. Ukaranie nikczemności należy do sądu. P. Zyblikiewicz zażądał uznania od rady, temu się nie dziwimy, on do wszystkiego zdolny, ale że rada miejska m. Krakowa uznanie mu udzieliła i zsolidaryzowała się z nim w szerzeniu moralnej zgnilizny wśród narodu, tego jej społeczeństwo polskie nigdy nie przebaczy.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W kilka dni potem w Tarnowie podczas targu złapano na rynku jakiegoś obdartusa, który chwyciwszy babie z rąk kilkanaście reńskich uciekał z niemi w boczną ulicę. Był to już nie młody człowiek, siwy całkiem, bez zarostu, tylko pod nosem sterczał wązki skrawek wąsów zaczerniony tabaką. Zaprowadzony do sądu przyznał się od razu do winy, tłomaczył się, że zrobił to z biedy, że jest rodem z Olkusza, że się nazywa Jędrzej Knapek i jest z powołania krawcem, że przez parę lat chodził po dworach; ale teraz odkąd zapadł na oczy nie może wiele zarabiać. Świadectw ani paszportu nie miał, bo jak utrzymywał, ukradziono mu.

Sąd po sprawdzeniu tych szczegółów — doniesiono bowiem drogą urzędową, że rzeczywiście Jędrzej Knapek pochodzi z Olkusza i jest krawcem — skazał go za kradzież na dwa miesiące więzienia.

W taki sposób kiedy sąd, żandarmi, policya szukali wszędzie Grünwalda, on pod na-

zwiskiem Jędrzeja Knapka ukrywał się w kryminale, a że siedział za małe przestępstwo więc też więzienie jego nie było ciężkie. Używano go do różnych posług to w domu dozorcy więzienia, to w ogrodzie. Pomiędzy więźniami, których widywał, było wielu jego znajomych, żaden jednak nie poznał go w tej postaci. Do tego jeszcze Grünwald z umysłu zapadał często na ból zębów i chodził z podwiązaną twarzą, co jeszcze trudniejszem robiło go do poznania. Dobrze powiedział Nuchem, że własna córka by go nie poznała. Ale Amelia byłaby go nie poznała nawet, gdyby we własnej postaci stanął przed nią, bo nie patrzała na nikogo i była obojętną na wszystko, co się kolo niej działo. Po silnych wybuchach rozpaczy, płaczu, owładnęła ją teraz jakaś martwota. Siedziała po całych dniach nieruchoma, z oczami zapatrzonemi albo w ziemię lub gdzieś przed siebie. Czy to był stan bezmyślnej apatyi, czy też jakaś jedna myśl zajmowała ją tak mocno, że na nic więcej uwagi nie zwracała, trudno to było odgadnąć, bo żydówka nie zwierzała się przed nikim, nic nie odpowiadała.

Ojciec nieraz pracując w ogrodzie widział ją siedzącą pod murem z tym szklannym, nieruchomym wzrokiem i przechodził straszne męczarnie, że nie może zbliżyć się do niej, pocieszyć ją, przytulić do siebie. Nieraz zdawało mu się, że patrzy na niego, wtedy dawał jej jakieś znaki; ale ona patrząc nie widziała. Wzrok jej był jak wzrok obłąkanego, który widzi tylko utwory własnej wyobraźni. Widziadła te, które lęgły się w wyobraźni żydówki, musiały być okropne, bo twarz jej była zawsze ponura, a nieraz wykrzywiała się i marszczyła w sposób, który ją robił straszną. Grünwaldowi krajało się serce na widok boleści własnego dziecka, a cierpiał tembardziej, że jej pomódz nie mógł. Był tak blisko własnego dziecka, a nie mógł przyznać się do niego.

Parę razy o mało się nie zdradził. Raz kiedy dowiedział się, że jakaś młoda żydówka chciała się wieszać, ale jej przeszkodzono, Grünwaldowi wnet na myśl przyszła córka, zerwał się z tapczana i wrzasnął okropnym, rozpacznym głosem: O moje biedne dziecko! Na szczęście nikt nie słyszał tego wykrzyku prócz paru więźniów, z którymi razem siedział. Przed tymi wytłomaczył się potem, gdy po gwałtownem wzruszeniu opamiętał się nieco, że ma w królestwie córkę i przyszło mu na myśl, że córka dowiedziawszy się o jego hańbie może także podobnego czynu się dopuścić, jak owa żydówka.

— O! toby było okropne! — mówił — Ja bym nie przeżył tego — i rozpłakał się głośno. Płaczem tym ulżył swojej boleści a nie wzbudzał żadnych podejrzeń. Wiedzieli, że płacze z powodu córki swojej, ale nikt nie przypuszczał, że płacze za ową żydówką, która targnęła się na własne życie.

Teraz dopiero zrozumiał Grünwald, co znaczyło to ponure zamyślenie córki, te straszne zmiany nieraz na jej twarzy. Układała plan samobójstwa i myśleniem usiłowała oswoić się z jego okropnością.

Rzeczywiście Amelia straciwszy wszelką ochotę do życia przemyśliwała tylko nad sposobem, jakby uwolnić się od niego. Z początku wierzyła w naiwności swojej, że sąd skaże ją na śmierć za zbrodnie, w które ją wplątano. Według jej pojęć zbrodnia tak straszna śmiercią karana być powinna, i z upragnieniem oczekiwała wyroku. Nie chciała żyć więcej skalana hańbą ojca; była przekonaną, że Jan odepchnąłby ze wzgardą córkę złodzieja, a to jej wystarczało zupełnie, aby życie straciło całą wartość w jej oczach. Gdy jednak w ciągu śledztwa widziała, że nie tylko nie będzie karana śmiercią, ale może być nawet uwolnioną, bo niewinność jej w tej sprawie stawała się coraz widoczniejszą; trwoga ją ogarnęła na myśl, że może być wolną i postanowiła sama sobie odebrać życie. Z początku chciała się zagłodzić, ale gdy gwałtem zmuszono ją do jedzenia, wymyśliła sobie inny rodzaj śmierci. Upatrywała tylko sposobnej chwili do wykonania zamiaru, i jednej nocy, kiedy towarzyszki jej spały snem mocnym, wstała po cichu, poszła ku oknu, przywiązała do kraty kilkoma węzłami jedwabną chustkę swoją, potem okręciła nią szyję, puściła się rękami i zawisła w powietrzu. Zrobiła to wszystko tak cicho, że nie zbudziła nikogo, nawet w chwili, kiedy chustka ścisnęła gardło, siłą woli, z jaką pragnęła umrzeć, zapanowała nad boleścią, nie ruszyła ani ręką, ani nogą, wisiała jak związana. Na szczęście szyldwach zaglądając przez drzwiczki spostrzegł na tle jasnego okna wiszącą jakąś postać ludzką; stukaniem obudził śpiących w kaźni i w ten sposób uratowano żydowkę. Kiedy ją odwiązano, była już nieprzytomna. Niezadługo jednak przyszła do siebie. Otworzywszy oczy spojrzała zdziwiona w koło siebie i zakryła twarz rękami. Nie chciała patrzeć na nikogo, ani odpowiadać na czynione jej zapytania. Wezwany do niej doktor orzekł, że powodem tego jest melancholia, przepisał jednę godzinę więcej spaceru w ogrodzie. Trudno jednak było namówić ją do tego. Niechętnie dawała się wyprowadzać z celi, a gdy ją wyprowadzono do ogrodu, usiadła pod murem i siedziała tak czas cały nie patrząc ani mówiąc.

Strażnik więzienny, któremu polecono pilnować, aby żydówka jak najwięcej ruchu używała, usiłował zmusić ją do tego groźbami, a gdy żydówka obojętnie takowe przyjmowała, zniecierpliwiony porwał ją raz za ramię i pchnął na ścieżkę tak silnie, że upadła. Grünwald był wtedy właśnie w ogrodzie. Ujrzawszy to rzucił się na strażnika z wściekłością i oburzeniem i bić go począł. Z trudnością straż, która w tej chwili nadbiegła, zdołała oderwać go od dozorcy. Wpakowano go za to na czterdzieści ośm godzin do ciemnicy o chlebie i wodzie. Nikomu jednak nie wpadło badać powody, które skłoniły go do tak energicznego ujęcia się za żydówką; przypisywano dobremu sercu starego, że nie pozwolił krzywdzić biednej dziewczyny, której smutny los budził powszechną litość i sympatyą, nawet między sędziami. Dla tego poprzestano na tej karze, a dozorcy nakazano delikatniej obchodzić się z uwięzioną. Zostawiono ją więc w spokoju, i żydówka siadywała jak dawniej pod murem, zawinięta w chustkę wełnianą, którą nawet twarz zakrywała przed ludźmi. Nieraz siedziała tak kilka godzin, bo z rozkazu doktora pozwolono jej przebywać na wolnem powietrzu, jak długo sama zechce.

Jednego dnia w czasie kiedy strażnicy zajęci byli odprowadzaniem więźniów ze spaceru, a przyprowadzaniem innych, Grünwald, który kręcił się po ogrodzie i przesadzał drzewka, zbliżył się nieznacznie do siedzącej i zajęty niby kopaniem dołu, odezwał się głosem cichym ale dosadnym:

— Małka!

Dziewczyna ruszyła się nagle, jakby ją co ukąsiło i ze zmartwionem czołem spojrzała na mówiącego, wpatrując się ostro, badawczo.

— Nie patrz na mnie, żeby się nie domyśleli, że rozmawiam z tobą.

— Ktoś ty? Głos twój przypomina mi kogoś, kogobym nie chciała już widzieć więcej; ale nie, ty nie jesteś mój ojciec — dodała ze wstrętem.

Grünwald widocznie zmięszał się tem odezwaniem się córki i nie wiedział co dalej mówić. Nie spodziewał się, że go nienawidzieć będzie. Żydówka nie ciekawą była widocznie, co jej powie, bo zapadła znowu w ponurą apatyą.

Po chwili Grünwald odważył się znowu przemówić.

— Mam do ciebie zlecenie.

— Od kogo?

Grünwald wahał się co powiedzieć.

— Od ojca? — spytała — Nie chcę nic słyszeć, nie chcę go znać więcej. Ja nie chcę być córką złodzieja.

Żyd z podwojoną siłą począł wyrzucać ziemię z dołu, aż mu twarz nabiegła krwią od wysilenia. Czas jakiś trwało głuche milczenie, słychać było tylko uderzenie łopaty o kamienie. Gdyby żydówka była baczniej obserwowała pracującego, byłaby mogła zauważyć, że od czasu do czasu krople wody ściekały po jego zmordowanej twarzy i upadały to na ziemię to na łopatę. Może to był pot, a może łzy. Ale jej nie przyszło na myśl patrzeć na niego. Wstała obojętnie i zabierała się do odejścia.

— Nie odchodź jeszcze — odezwał się żywo Grünwald ocierając rękawem twarz mokrą — mam ci coś powiedzieć, coś bardzo ważnego.

— Mów — rzekła chłodno.

— Posłał mnie Jan.

Żydówka zadrżała.

— Kazał ci powiedzieć, że gardzi mną, prawda? Odsyła mi może pierścionek?

— Nie, kazał ci powiedzieć, że kocha cię jak dawniej, że powinnaś żyć dla niego.

Żydówka zaczęła prędko mrugać powiekami, jakby nie mogła znieść blasku tych słów, oczy jej ożywiły się nagle, na twarzy krzyżowały się najrozmaitsze myśli, stawała się prawie nieprzytomną z radości, chwyciła się rękami za piersi, jakby się bała, żeby nie pękły i długo nie mogła przemówić ze wzruszenia.

— Na Boga, uspokój się — odezwał się żyd nie przerywając roboty — bo mogą zobaczyć. Zgubisz mnie i siebie.

— Więc to on ci powiedział? — zapytała go Amelia zniżonym głosem, drżącym od uciechy — on? Nie, to niepodobna. On nie może kochać córki złodzieja; on taki prawy, zacny, szlachetny, musi się brzydzić mną. Może tylko z litości tak mówi.

— Jego ojciec siedział także w kryminale za złodziejstwo.

— Kłamiesz. Ciebie ktoś tu umyślnie posłał, abyś go oczernił — zawołała z ogniem.

*

— Sam ci to powie.

Żydówka nic na to nie rzekła. Wiadomość którą usłyszala wprawiła ją w osłupienie.

W tej chwili odezwał się głos dozorcy wołający Knapka.

— Idę, idę — odezwał się głośno, a do Amelii rzekł po cichu spiesznie. — Niezadługo będziesz wolną. Gdy cię ztąd wypuszczą idź do karczmy na górę świętego Marcina, ja tam będę czekał na ciebie i zaprowadzę cię do niego. (C. d. n.)

RZECZ O POJEDYNKU

przez

Dra Józefa Rosenblatta.

I.

(*Wstęp: o pojedynkach w ogólności; zachowanie się ustawodawstwa względem pojedynków; pojedynek jako przestępstwo, jego pojęcie i rodzaje.*)

Nie ma może w całej nauce prawa przedmiotu na pozór tak bardzo znanego, tak bardzo rozpowszechnionego, przedmiotu, o którym tak wiele i tak często mówimy, słyszymy, czytamy, a który co do istoty swej, co do początku i rozwoju swego tak mało jest zgłębionym, tak niewytłumaczonym i zagadkowym, jak właśnie pojedynek.

Zkąd wziął się pojedynek w dzisiejszej jego formie? dla czego pojedynek jest uprzywilejowanym sposobem załatwiania tak zwanych spraw honorowych? zkąd jego związek z honorem? dla czego się pojedynek mimo wszelkich surowych i mniej surowych ustaw, mimo wszelkich przeciw niemu użytych gwałtownych i łagodnych, legalnych i socyalnych środków utrzymał i dotąd nie mało znajduje obrońców? Czy dalej pojedynek *ma* być w ogólności przedmiotem kodeksu karnego? a jeśli tak, dla czego ma nim być? co stanowi jego karygodność i od której chwili się takowa rozpoczyna? jak daleko sięga pojęcie pojedynku, czy mianowicie podpada pod pojęcie to tak zwany pojedynek amerykański? czy wreszcie pojedynek jest zbrodnią przeciw bezpieczeństwu życia i ciała, czy też przestępstwem odrębnem z właściwą sobie cechą? oto pytania i zagadnienia nie tak łatwe do rozwiązania, bo też pojedynek jest w rzeczy samej zagadką, zagadką historyczną i psychologiczną, do której rozwiązania dojść możemy tylko na podstawie starannych badań historycznych i historyozoficznych. Historya pojedynku pokazuje nam bowiem, jak z środka procesowego (dowodowego), z walki sądowej między oskarżającym a oskarżonym, mającej na celu wykrycie prawdy, a odbywającej się pod sankcyą prawa wobec zgromadzonego sądu — wyradza się z biegiem czasu krwawa walka o honor, wyradza się okropny przesąd, który tyle już ofiar pochłonął i jeszcze pochłania, który mimo wszelkich usiłowań ustawodawców, wszystkie ustawy przeżył i do dziś dnia wykorzenionym być nie może. Historya wykazuje nam dalej, jak pierwotny pojedynek między wybranymi z obozów nieprzyjacielskich ochotnikami, mający na celu usunięcie morderczej walki dwóch narodów, a będący dowodem męztwa lub zgrabności, jak np. dramatyczny pojedynek Horacyuszów i Kuracyuszów, lub nieco komiczny pojedynek Dawida i Goliata (bo i to był pojedynek), przeobraża się następnie w naszych czasach na tak zwany pojedynek amerykański, będący dowodem już nie męztwa i odwagi, lecz tchórzostwa, a często i nikczemności.

Nie będę tu rozbierać pojedynku pod względem moralnym i społecznym, nie będę oceniać zakorzenionych co do pojedynku przesądów, nie będę zastanawiać się nad tem, czy pojedynek jest koniecznym lub nie, czy należy wyzwanie do pojedynku przyjąć lub odrzucić, czy nie przyjęcie pojedynku czyni ujmę honorowi odmawiającego, czy też jest dowodem tak zwanej odwagi cywilnej, bo te kwestye aż nadto omawiane, aż nadto *pro i contra* rozbierane i oceniane; przytoczę tu tylko uwagi jednego z najznakomitszych prawa kryminalnego pisarzy, profesora *Bernera* tyczące się tego przedmiotu, poczem przystąpię do przedstawienia stosunku ustawodawstwa do pojedynków, rozbiorę pojedynek jako przestępstwo, skreślę onego historyą, dogmatykę i ustawodawstwo pozytywne. *Berner* przedstawia rzecz o konieczności pojedynku w sposób następujący: pojedynek koniecznym nie jest, powiada, cokolwiek przytaczają na jego uzasadnienie, krytyki nie wytrzyma. Jeśli kto utrzymuje, że sądowe zadośćuczynienie nie wystarczy dla osób mających delikatne poczucie honoru, to na to jest odpowiedź, że jakkolwiek sądowe rozstrzyganie spraw honorowych wymaga wprawdzie poprawy, to jednakowoż sprawy honorowe szlachciców, oficerów i studentów (stanowiących główny kontyngens pojedynkujących się) rozpatrywane bywają nie mniej delikatnie, aniżeli sprawy honorowe innych zarówno czcigodnych obywateli.

Jeżeli urzędnik państwa, który *był* studentem, może zadowolić się orzeczeniem sądowem, to z pewnością jest ono wystarczającem i dla studenta, który urzędnikiem państwa dopiero *ma zostać.* Obrońcy pojedynku powołują się dalej na sąd do tegoż stanu należących współzawodników i powiadają, że sąd ich zmusza w pewnych okolicznościach do wyzwania na pojedynek lub przyjęcia onego. *Sąd ten* — rozumują dalej — *jest może przesądem,* ale istnieje i ma siłę nie dającego się obalić faktu; wypada mu się więc poddać, jeśli kto nie chce wyrzec się wspólności z współzawodnikami i porzucić swego stanowiska. Na to jednak należy odpowiedzieć, że żaden przesąd pewnego stanu nie ma prawa górować nad lepszem przekonaniem jednostki. Powody przeciw pojedynkowi przemawiające i ustawy karne przeciw niemu wydane nie są tajemne. Jeśli współzawodnicy nie chcą prawdy unikać, natenczas to co przeciw pojedynkowi pisano i mówiono wystarczy, ażeby przekonać człowieka myślącego. Zadaniem jednostek jest bronić zdania swego przeciw przesądowi i zwalczać takowy. Prawdziwe poczucie honoru w tem właśnie powinno się objawić, iż się nie porzuca dla powagi przesądu, poddając mu się niewolniczo, własnego uzasadnionego zdania, lecz w tem, że się występuje z takowem otwarcie celem zwalczenia przesądu i stawienia mu oporu.

Obrażający — powiada dalej Berner — na dwie dzielą się klasy, na ludzi honorowych i pogardliwych (godnych pogardy); ani względem pierwszych, ani względem drugich pojedynek koniecznym nie jest, czy to rozbierzemy rzecz ze stanowiska obrażającego, czy też ocenimy położenie ze stanowiska obrażonego.

1. *Stanowisko obrażonego.*

a) Jeżeli obrażający jest człowiekiem honorowym, porozumieć się z nim jest rzeczą możliwą i łatwą. Cofnie on wyrządzoną obrazę, jeśli się przekona o swym błędzie. Obraza bywa tu zazwyczaj skutkiem chwilowego uniesienia, które ustępuje następnie przed zimną rozwagą, lub skutkiem nieporozumienia, które zostaje wyjaśnionem. Obrażony nie ma zatem potrzeby uciekać się w takich przypadkach do wyzwania.

b) Jeżeli przeciwnie obrażający jest człowiekiem pogardliwym, to należy zważyć, że tylko godność charakteru obrażającego nadaje obrazie moc i wagę. Kto sam doznaje wzgardy, nie może wyrządzić krzywdy przez obrazę drugiemu; słowo jego nic nie znaczy. Obrażony może spokojnie oddać go skarceniu sądowemu, a nie potrzebuje poniżyć się do bitki z pogardliwym kłótnikiem.

2. *Stanowisko obrażającego.*

a) Jeżeli kto obraził człowieka honorowego, obowiązanym jest cofnąć wyrządzoną mu krzywdę i odwołać obrazę, ale nie ma obowiązku uczynić go kaleką lub pozbawić życia. Zamiast przyjąć wyzwanie, należy tu raczej otwarcie i szczerze oddać cześć, komu się cześć należy.

b) Jeżeli się przeciwnie obraziło człowieka pogardliwego, nie wiadomo, dla jakiego powodu miałoby się przyjąć jego wyzwanie. Jeżeli obrażony jest w rzeczy samej takim, jakim go w obrażającem słowie przedstawiono, to można po prostu uciec się do dowodu prawdy (exceptio veritatis.)

Powyższe uwagi oceniają dostatecznie pojedynek pod względem społecznym; z kolei rzeczy wypada nam zatem omówić go pod względem ustawodawczym, tj. rozebrać pytanie, w jaki sposób ma zachować się wobec pojedynków ustawodawca? czy ma ignorować je po prostu, jak to uczynił ustawodawca francuski, czy też ma je wymienić i karać w kodeksie? a jeśli tak, czy pojedynek ma być karany na równi z zbrodnią morderstwa, zabójstwa itp., czy też ma zająć odrębne, jak powiadają, uprzywilejowane w kodeksie stanowisko. Słusznie powiada jeden z autorów o tym przedmiocie piszących, że przy żadnem przestępstwie nie występuje na jaw tak wielka sprzeczność między ustawodawstwem a opinią publiczną, jak właśnie przy pojedynku. Podczas gdy bowiem co do innych przestępstw głos ogólny uznaje karygodność działania, a kodeks karny ma siłę i oparcie swe w poczuciu prawnem narodu i w głosie wewnętrznym, który uznaje czyn za potępienia i ukarania godny, to przeciwnie odzywają się głosy nawet ludzi poważania godnych, które pojedynek usprawiedliwiają i postanowienia karne przeciw niemu za nieodpowiednie uważają; a widoczną jest rzeczą, że większość prawodawstw, zwłaszcza dawniejszych, w postanowieniach przeciw pojedynkom trzyma się raczej teoryi odstraszenia, aniżeli zasady sprawiedliwości.

Jeżeli rzucimy okiem na obecny stan ustawodawstwa w Europie pod względem pojedynku, to przedstawią się nam jak najróżniejsze i jak najsprzeczniejsze poglądy na pojedynek i sposób owego traktowania w ustawie. W ogólności jednak zachowują się ustawodawstwa wobec pojedynku w sposób trojaki; albo:

1) wcale o nim nie wspominają; albo:

2) zaliczają go do zbrodni przeciw bezpieczeństwu życia i ciała i karzą z niemi na równi, albo wreszcie:

3) stanowią szczegółowe przepisy karne

przeciw pojedynkowi jako przestępstwu odrębnemu; przepisy te zaś są mniej lub więcej surowe, kary hańbiące lub niehańbiące itd.

Systemy powyższe należy tu nieco bliżej omówić:

1) W sposób pierwszy zachowało się wobec pojedynków ustawodawstwo francuskie i angielskie. Jak jednak system ten jest niebezpieczny, tego najlepszym dowodem właśnie jurysprudencya francuska. Kodeks karny francuski z r. 1810 — z powodów jakie podamy później — kreśląc historyę pojedynku we Francyi — żadnej o pojedynku nie zawiera wzmianki. Przez długie czasy, bo aż do roku 1837 pojedynek we Francyi karany nie był; trybunał kasacyjny był bowiem tego zdania, że ustawodawca (autor kodeksu z r. 1810) nie miał zamiaru karania pojedynku i dla tego o nim w kodeksie nie wspomniał. W skutek takiej jurysprudencyi trybunału kasacyjnego liczba pojedynków się coraz wzmagała, coraz liczniejsze, coraz dostojniejsze ginęły ofiary. Wtedy prokurator jeneralny, *Dupin*, widząc lukę w ustawie, wystąpił w roku 1837 przed trybunałem kasacyjnym z twierdzeniem, że popełnione w pojedynku zabójstwo ma być podciągnięte według zamiaru autorów kodeksu z r. 1810 i po ich myśli pod przepisy karne o zabójstwie w ogólności; tak należy zdaniem jego rozumieć milczenie kodeksu z r. 1810 o pojedynku, taka była tendencya i myśl jego twórców. I w rzeczy samej trybunał kasacyjny przychylił się do tego zdania prokuratora jeneralnego i orzekł wyrokiem z 22. czerwca 1837, iż zabicie dokonane w pojedynku jest karygodne jako zabójstwo. Pojedynek, który przez lat 27, a właściwie już dłużej, bo od rewolucyi we Francyi, był bezkarnym, zaczęto zatem karać i to jako zwyczajne zabójstwo, jednakowoż tylko wtedy, jeżeli pojedynek kończył się śmiertelnie. Ale i to ograniczenie niezadługo upadło; powyższa jurysprudencya trybunału kasacyjnego wywołała konsekwentnie wnioski dalej idące; i tak uznał trybunał kasacyjny tego, który przeciwnika swego w pojedynku zranił, winnym zabójstwa usiłowanego; sekundantów i tych, którzy broń podali pojedynkującym się, zaczęto karać jako wspólników zabójstwa itd. Ale co najciekawsze, że trybunały apelacyjne, które nie są obowiązane stosować się do jurysprudencyi trybunału kasacyjnego, zapatrywań swych dawniejszych nie porzuciły, tak mianowicie trybunały apelacyjne: w Paryżu, Orleanie, Nancy itd. trzymały się nadal zasady, że pojedynki są bezkarne i od kary za takowe uwalniały, a gdy według procedury kryminalnej francuskiej prokuratorowi nie służy w takim razie środek prawny przeciw wyrokom uwalniającym, przeto zdarzało się, że pojedynkujący się w okręgu sądu paryskiego pozostawali bezkarni, podczas gdy pojedynkujący się w okręgu sąsiednim surowej ulegali karze. Nie będziemy tu szczegółowo omawiać ustawodawstwa francuskiego i oceniać powyższej jurysprudencyi, bo uczynimy to później, tu zwracamy tylko uwagę na niebezpieczeństwo systemu francuskiego tj. systemu milczenia o pojedynku. Jeżeli bowiem ustawodawca o pojedynku milczy, pozostawia tem samem nie rozstrzygnięte pytanie, ażali chciał przez to wypowiedzieć bezkarność pojedynku, lub zrównać go z resztą przestępstw przeciw życiu i zdrowiu. Lepiej zaiste w takim razie *bezkarność* pojedynku w pewnych warunkach wyrzec, aniżeli pozostawić otwarte pole dla różnych domniemań i sprzecznej jurysprudencyi. Nie ma jednak dziś w Europie ustawy, któraby orzekała bezkarność pojedynku, a i w teoryi bezkarność pojedynków bardzo mało dziś liczy zwolenników. Jak wielu wszakże zwolenników miała dawniej, jak bardzo na seryo rozbierano rzecz o bezkarności pojedynku, tego dowodem pod wielu względami ciekawa rozprawa *Cucumusa* „über das Duell und dessen Stellung in dem Strafensysteme, eine Abhandlung aus dem Standpunkte des Vernunftrechts,“ — w której autor zaraz na początku w §. pierwszym rozbiera pytanie, ażali jednostka ma według prawa natury *prawo pojedynkowania się* (§. 1. „Untersuchung der Frage, ob die Person nach dem Vernunftrechte ein Recht des Duells bedingt oder unbedingt in Ausspruch nehmen könne?) i powiada, że są pewne względy i powody pozorne, które za potwierdzeniem tego pytania przemawiają, że jednak w rzeczy samej prawo takie obok zasady mocy obowiązującej ustawy i zasady praw ludzkich (nach dem Grunde der Geltung des Rechtsgesetzes und dem Principe der Rechte des Menschen) istnieć nie może.

Przystępujemy do drugiego sposobu zachowania się ustawodawstwa wobec pojedynków.

(C. d. n.)

UMARŁA!....

rzecz napisana podczas grania Sonaty Beethovena op. 13. — przez p. H. S.

Przez

J. CHOROŚNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Opadły ręce biednemu dziecku i stała się znowu lekką, wiotką roślinką, uginającą się za podmuchem wiatru.

— Andziu moja — zawołał stary patrząc z trwogą na jej blednące lice — wolę cię dziś widzieć chwilę bolejącą, niż nieszczęśliwą życie całe.

Ona odzyskała wnet siły; otrzęsła się i rzekła spokojnie jak przedtem:

— Stało się! oddaję ci ojcze pierścionek, który za twojem pozwoleniem na palec włożyłam... oddaję ci go jednak z tą pokorną prośbą, aby przedmiot ten na zawsze wymazanym został z naszej rozmowy, aby imię Henryka nigdy między nami, nigdy w tym roku, wymówionem nie było. Jestem bardzo... bardzo słabem stworzeniem... siły moje mogą mniej wytrzymać niż to się zdaje... więc lepiej dla mnie, abym go nigdy nie widziała, abym o nim nigdy nie słyszała.

— Biedne dziecię moje!

— Czy masz mi co jeszcze do powiedzenia ojcze?

— Nic... nic więcej prócz tego, że z bolem serca ranę ci tę zadałem, że ją zadać musiałem. Mógłbym cię wydać za człowieka bez majątku, bez imienia, bez urodzenia, ale nigdy za człowieka bez wiary, bez charakteru, że Polka, chrześcianka, znaleść powinna tyle sił, aby znieść chwilowe nieszczęście... które ją ratuje i zabezpiecza od szeregu nieszczęść życia całego, jakieby na nią spaść musiały, gdyby na wieki związana była z człowiekiem, który nie jest jej godnym.

Anna stała chwilę nieruchoma — twarz jej zwolna bladła, aż stała się do kredy podobną... usta jej chwilę drgały, jakby nie mogła w nich znaleść siły do przemówienia.

Ona nie słyszała wcale tego co ojciec do niej mówił.

Nareszcie drżącą ręką zdjęła z palca złotą obrączkę turkusami wysadzaną, namiętnie przytuliła ją do ust.

— Oto ojcze jest pierścionek, któregoś żądał... Czy wolno mi się oddalić!

Borski wziął drżącemi rękami pierścionek z drugiej ręki córki... patrzył długiem bolesnem spojrzeniem za oddalającą się i wybuchnął płaczem, wielkim, głośnym płaczem. Łkał jak kobieta, a łzy duże padały mu na siwe wąsy jedna po drugiej wielkiemi kroplami.

— Boże! — przebacz mi! — modlił się głośno z rękami złożonemi — ty wiesz, żem tak uczynić musiał. Ty wierna moja towarzyszko, która między świętymi u stóp tronu Bożego w niebie przebywasz, wstaw się do Boga za swem dziecięciem, aby mu boleść lekką była, aby rana ręką ojcowską zadana, nie była jej raną serdeczną.

Anna spokojnym krokiem wyszła z pokoju ojca... i takim samym krokiem równym miarowym, doszła do swego pokoju.

Ona nie płakała, ona ani jednej łzy z oka nie spuściła.. Z ust jej wysunęły się tylko słowa:

— Jest mi tak czarno w duszy, jakby kto umarł, jakby tylko smutny śpiew księży, światła grobowe i kiry pogrzebne w domu naszym były...

Bóg tak chciał... i ojciec tak chciał.

Nie chcę go nigdy widzieć... nie miałabym siły powiedzieć mu: „Idź! my do siebie nigdy należeć nie będziem. Odejdź odemnie, bo ja twoją, ani Ty moim już nigdy się nazywać nie będziemy... bo chce tak wola ojca mego, ktory mnie zawsze aniołem swym nazywał... bo wola jego jest niezłomną, żelazną... a ja biedna ulec jej i słuchać jej muszę, bom jego córką i on ojcem moim. Dla mnie pozostaniesz zawsze tym samym nieskazitelnym... Choć serce pęka, choć wiem, iż tobie czynię niesprawiedliwość... muszę uledz woli mego ojca... Odejdź odemnie, ja ciebie nigdy nie chcę widzieć... ani o tobie nic słyszeć... zapomnij o mnie i przebacz mi...“

Stało się podług woli Anny.

Nigdy odtąd nie widziała Henryka.

On gdy otrzymał list z czarną wieścią i złotą obrączkę, nie rozpaczał, nie jęknął, nawet nie wydał słowa boleści.

Urwał rozmowę — list przeczytał i nawet w odpowiedzi swej do Borskiego oszczędnym był w słowach: Zażądał tylko wytłumaczenia z odesłania mu pierścionka, wyjaśnienia dla czego dziś mniej był godnym ręki Anny aniżeli przed tygodniem — ale list powrócił nie rozpieczętowany z Mnichowa.

Henryk opuścił załamane dłonie, rzucił list nieszczęśliwy na biurko, na którem świeciła uśmiechem fotografia Anny i patrzył na niego jak człowiek, który w trumnę kładzie swą przyszłość i nadzieje swego życia całego.

— Nie myślę narzucać się osobą moją — mówił do siebie — nie mam jej nic do powiedzenia, i wy zapewne powiedzieliście mi już wszystko — coście mi powiedzieć mieli chociaż tak małoście mi powiedzieli.

— O! bądź spokojny — ciągnął dalej boleścią przejętym głosem — nie stanę przed tobą nigdy, i dla głębokiej i rzetelnej miłości, jaką mam dla Anny — nie zażądam już rachunku z tych słów i z tego czynu. Nie zrobię ci tej przyjemności abyś mi mógł odesłać znowu list

nieczytany; widokiem moim nie przysporzę boleści, ani jej ani sobie.

Ale gdy się przekonasz, że jestem i byłem uczciwym człowiekiem, żeś sądził z pozorów, może uwiedziony oszczerstwem, bo nie przypisuję ci złej woli; gdy się przekonasz, że czynem tym złamałeś moje i jej życie — daremnie — i żeś mnie krzywdę zrobił... Przyjdź do mnie i powiedz mi! Zbłądziłem, nie zasłużyłeś na to com ci uczynił, jesteś uczciwym człowiekiem; choćby to być miało u trumny mojej, choćby na moim grobie.

Nie męską rzeczą jest biernie cios przyjmować — i zadowolić się tylko nadzieją uznania błędu... Kiedyś — gdy już prochu ze mnie nie będzie, powinienbym rozwinąć dziś energię całą, i dowieść światu, żeście mnie skrzywdzili... — ale — nie mam sił! wyznaję otwarcie, cios dotknął mnie nadto silnie i niespodziewanie, abym był wstanie jakikolwiek opór stawić... Ulegam więc! A Anna? Czyż i ona wierzy? o! nie, Anna nie przypuści, nigdy, abym mógł się czemśkolwiek splamić.

II.

W komnacie swej u klęcznika klęczała w głębokiej pogrążona modlitwie, poważna i smutna postać kobieca w ślubnym welonie i mirtowym wieńcu.

W oczach jej wzniesionych pobożnie ku niebu nie było odblasku szczęścia, który jaśnieje z za łez kobiety, gdy się modli do Boga w przededniu połączenia się na wieki z człowiekiem, którego serce jej wybrało...

Na twarzy nie było boleści i smutku, iż opuszcza dom rodzicielski, w którym pieszczoną jedynaczką była...

W zaciętych ustach nie było widać niespokojnej nadziei, trwogi człowieka wstępującego w nowy okres życia; czującego i widzącego, iż oczekuje go życie nowe, inne, choćby najszczęśliwsze — ale nieznane... nowe obowiązki, nowe prawa.

Nie znać było w tej twarzy posągowej odblasku onego pragnienia zwykłego ludzkiej naturze, która zawsze dąży, pragnie czegoś nowego— a żałuje za starem.

W oczach, w ustach, z całej klęczącej postaci przebijała tylko — rezygnacya.

Przeszłość minęła — skończyła się dla niej; twarz nie zdradzała żalu za nią do świata, do ludzi — ni radości po niej; przyszłość, nadzieje, były jej obojętne... nie było ich wcale — nie spodziewała się niczego.

Nie było na twarzy jej rozpaczy bolesnej, miotającej duszą i sercem po biednem ciele; nie było na twarzy jej nawet wyrazu rozpaczy spokojnej, lub ciężkiego bolu... — była rezygnacya granicząca z apatyą, którą tylko anioł religijności od serca odpędzał.

Kobieta w ślubnej sukni klęcząc nieruchomie długo się modliła.

Obok niej stała drużka poprawiając na jej głowie wieniec mirtowy.

Drużka, wydajmy ją ze sekretu, patrzyła więcej na bladą twarz przyjaciółki, niżeli na wieniec, którym była zajęta.

Różne myśli krążyły po jej główce.

— Dziwne wesele! nie chciałabym, aby moje takiem było... Bo też co prawda, Anna całe życie swe dziwną była istotą.

Oświadczył się o nią hrabią Oruski, hrabia, bogaty, skoligacony — roześmiała mu się w oczy... Wszyscy mówili, garbaty, brzydki, ona kocha się w Henryku...

Nagle tak jak bez powodu dała kosza hrabiemu, tak też zerwała z Henrykiem. Cały świat daremnie się silił odgadnąć prawdziwą tego przyczynę.

Dziś idzie za hrabiego Zaklińskiego... za godzinę będzie hrabiną... Widocznie był jej hrabia przeznaczony.

Pojedzie pewnie do Paryża, Wenecyi, zobaczy taki piękny świat... a iskry zajęcia nawet w niej to nie budzi.

Hrabia, co prawda, wygląda jakby go wczoraj z litewskich lasów przywieziono, albo raczej jakby ożyły antenat ze starego portretu z tamtego stulecia... rubaszny sobie, najbardziej wtedy gdy chce być eleganckim i szarmanckim... łysy i okrągły, podbródek ma wielki i poci się kroplami... ale poczciwy... i hrabia... a Henryk... no! ale sama z Henrykiem zerwała... i sama chciała hrabiego... byłam kilka razy przytem, jak wuj ją błagał, zaklinał, aby za hrabiego nie szła, że mógłby być jej ojcem, nie mężem... ale ona jest strasznie uparta... Powiedziała sobie „Zakliński“ i klęczy teraz z bladą twarzą jak bogini rezygnacyi... Sama nie wie czego chce... Stało się tak jak chciała, więc cóż... Zresztą niech będzie kontenta albo zmartwiona... Albo jej żal Henryka, lub nie... Et! mnie się zdaje, że ona sama nie wie, co ma z sobą zrobić.

— Aniołku! czekamy! — odezwał się z za kotary głos tubalny, i ukazała się łysa głowa, twarz okrągła z wiszącym podbródkiem i jeszcze okrąglejsza postać hrabiego Zaklińskiego.

Zatrzymał się w progu.

Jedną ręką przytrzymywał kotarę, a drugą uzbrojoną olbrzymim bukietem róż wyciągnął przed siebie.

Anna drgnęła na ten głos.

Blada, czoło pochyliła na klęcznik, i ręką chwyciła się za serce. Usta jej drgały chwilę kurczowo, potem szepnęła słowo jakieś niezrozumiałe... i podniosła się majestatycznym ruchem.

— Zaraz będziemy gotowe — odrzekła drużka.

Pan młody przysunął się do Anny w posuwistych krokach, i ofiarowując bukiet, złożył na jej ręce głośny pocałunek.

Anna ręki mu nie podawała, lecz i nie broniła... blada jak posąg marmurowy. Z twarzy jej żadna ciekawość nie zdołałaby wyczytać wewnętrznego wrażenia, ani uczucia, które w sercu panowało.

— Dziwne wesele! — mówiła sobie drużka znowu, patrząc na państwa młodych — nie chciałabym być tym panem młodym... ale — i nią bym też być nie chciała.

— Bladą jesteś, Anno — rzekła do przyjaciółki po odejściu hrabiego.

— Bladą? zapewne nie więcej jak zwykle — odparła Anna spokojnym głosem.

— To prawda — przerwała drużka — taką jesteś, jak zwykle — od niejakiego czasu... a przecież... to twój ślub! Powinna byś więc właściwie inną być jak zwykle... Ślub, to rzecz ważna i wielka...

Anna milczała.

— Drużbowałam już nieraz, jedne wychodzą za mąż z miłości. U tych, choć ukontentowania nie ukazują, bo i trudno tego wymagać — szczęście, z za łez, w oku się zdradzi... Inne idą przymuszone stosunkami familijnymi, rodziną, wyobrażeniami własnemi lub tych, od których są zawisłe— te idą do ołtarza smutne, bo spełniają ofiarę...

Anna słuchała tych słów, nie zmieniając postawy i tylko brwi jej marszczyły się coraz bardziej na czole.

— Inne nareszcie — przerwała swej przyjaciółce — idą za mąż tak, jak ja, ani przymuszone, ani z upragnieniem... idę, bo cóż mam zrobić? kobiety po to się rodzą, aby szły za mąż— idę więc i ja, aby nie zostać starą panną—sprzętem zawadzającym w najlepiej i najgorzej umeblowanym pokoju. Zapewniam cię, że większa część kobiet na świecie dla tego za mąż idzie.

— Tak! wiem to bardzo dobrze, ale przecie idą za tego, którego serce wybiera...

Annie znowu brwi drgnęły a oczy podniosły się na drużkę.

— Daj ci Boże, abyś była w tem położeniu. Nie wszystkie zresztą kobiety są jednakowego usposobienia. Powiedziano mi, że hrabia jest dobrym człowiekiem, uczciwym, majętnym, dobrze urodzonym. Ojciec życzył sobie od dawna, abym za mąż wyszła — więc kiedy już koniecznie miałam pójść za kogo, aby nie zostać zawadzającym sprzętem — wybrałam poczciwego człowieka, którego znam od dzieciństwa i który był zawsze moim szczerym przyjacielem... choć tak różny wiek między nami. Czy uważasz, iż jest on partyą dla mnie niestosowną? — zapytała wpatrując się w oczy swej drużki.

— Niechże Bóg uchowa... o hrabiu ani słowa nie mówiłam, tylko o tobie.

— O mnie?! — zawołała dziewczyna głosem, który dowodził, iż nie wszystkie struny w sercu jej były pozrywane, a rezygnacya była raczej szatą konieczności jak wynikiem uczuć. — O mnie?! — powtórzyła spokojniejszym głosem — dziękuję ci Zofio — nademną już zamknięta książka, od dawna już nie zwykłam mówić i nie mówię o sobie... z tem mi najlepiej.

— A przecież! przecież mój Boże — zawołała Zofia prawie z płaczem — przecież pamiętam, że do innego wesela zamawiałaś mnie sobie na drużkę.

— Nie wywołuj mar... niech śpią spokojne... jeżeli śpią — odparła uroczyście Anna, wyciągając przed siebie obie ręce, jakby te mary tam, daleko od siebie zatrzymać chciała — Bóg tak chciał — i nie ma w tem ani mojej, ani jego winy.

Zofia rozgorączkowywała się słowami Anny, które padały uroczyście i poważnie, a z pod zimna ich buchała lawina gorąca... syczały jak krople zimnej wody uderzające o żelazo rozpalone.

— O! ty przecież będziesz miała na sumieniu swoje i jego szczęście... złamane kaprysem twoim... i szczęście tego człowieka, któremu zaprzysiężesz uczucie, nie mając go.

— Co się tyczy „tego człowieka“ — to wie on o wszystkiem, bo jestem na tyle uczciwą, żem mu wszystko powiedziała; — on nie może i nigdy nie będzie odemnie żądać *miłości* — a jego poczciwość daje mi rękojmię, że przyjaźń jego będzie mi podporą w ciężkiem życiu mojem... i dlatego właśnie, że on nie zażąda odemnie uczucia, którego nie ma w mem sercu, i którego w niem nigdy nie będzie — mogłam go wybrać bez wyrzutu sumienia na towarzysza mego życia.

Co się tyczy mnie i jego... to nie było tam jak ty mówisz: *kaprysu*... Bóg tak chciał! i łacniej mogłabym jemu niż sobie przypisać winę. Winę braku czynu, energii, winę bierności... winę braku tego, z czem mężczyzna na świat przyjść powinien... winę braku odwagi walczenia z niewido-

mym i nie wiadomym nieprzyjacielem... Ale! i jego trzeba pierwej wysłuchać, zanim go się obwini, to tylko pewna, że staniemy przed Bogiem oboje czyści... i spojrzymy sobie w oczy śmiało, bo ani on mnie, ani ja jemu nic nie mamy sobie do zarzucenia.

Zofia słuchała jej w milczeniu.

— A przecież — rzekła po chwili — życie jego ciąży na twojem sumieniu. — Zaciągnął się w szeregi legionu polskiego w Turcyi i padł przeszyty kulą moskiewską — kierowaną może bratnią ręką... O! — Anno, Anno!

Anna wstrząsła się.

Brwi jej zadrgały gwałtownie i twarz stała się marmurową; ale niebawem zebrała siły i dodała spokojniej.

— O nie, Zofio! mojej w tem winy nie ma — o nie ma wcale — tak mi Panie Boże dopomóż!! chodźmy Zofio, bo opuści mnie sił reszta — chodźmy! — O Boże, jak mi ciężko... — dodała do siebie cichym szeptem.

— Aniołku! — czekamy!

Anna uścisnęła Zofię, na twarzy jej panował znowu wyraz spokojnej rezygnacyi; i majestatycznym krokiem weszła do salonu, gdzie na nią czekało szczupłe grono weselnych gości.

(Dok. nast.)

HISTORYA
3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO
z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

(*Ciąg dalszy.*)

Dnia 29. maja około południa, zrobiwszy lekki marsz z Jabłonny, rozłożyła się obozem dywizya nasza na Pradze, na placu, wprost kościoła. Kościół ten leżał nad Wisłą i był podówczas jedynym na Pradze.

W miejsce poległego pod Ostrołęką gen. Kamińskiego dowództwo dywizyi naszej objął gen. Sierawski, bohater z pod Kazimierza, w miejsce wziętego tamże do niewoli gen. Krasickiego komendę naszej brygady poruczono pułkownikowi Galois, jakiemuś przybłędzie, jak gdyby między naszymi wyższymi oficerami trudna rzecz była wyszukać generała, a takich pułkowników rzeczywiście wyższym talentem wojskowym obdarzonych, jak: Dębińskiego, Mycielskiego i wielu innych do działania nie przypuszczono; zaś w ciasnych ramach działań pułku, zdolności swoich nie wiele zużytkować mogli. W dowództwie naszych batalionów, po utracie sztabs-oficerów, naturalnym porządkiem musiały nastąpić zmiany: 1szy bat. objął major Jabłonowski; 2gi bat po wyleczeniu się z ran objął major Kuhn; ponieważ zaś Jastrzębski po wyleczeniu z pobicia przeznaczonym został jako pułkownik na dowódzcę 14. pułku piech. lin. w dowództwie batalionem 3cim zastąpił go major Gerhard.

Te objęcia dowództwa odbyły się przy wystąpieniu całej dywizyi, na które przybył naczelny wódz na przedstawienie żołnierzy, na placu wystąpienia mianował naczelny wódz za odznaczenie pod Ostrołęką por. Pomorskiego i podpor. Białkowskiego kapitanami. Zaś pułkownik Jastrzębski dziękował, całując w twarz tych żołnierzy, którzy go zbitego kolbami na płaszczu z pola walki unieśli. Zauważałem, iż tym razem przemowy jego, już nie tak czarodziejsko jak pierwej owładniały duchem żołnierza. Pułk nasz gorąco upraszał o pozostawienie pułkownika Jastrzębskiego, a oddanie pułku 14. puł. Dąbrowskiemu, do czego się Skrzynecki nie przychylił, i od tej chwili Jastrzębski objął dowództwo brygadującego z nami 14. pułku piech. lin.

W owym czasie posypały się awanse, oficerów na wyższe stopnie, podoficerów na podporuczników, i zmiana ich lokacyi po batalionach. Rozdanie krzyżów „virtuti militari“ także teraz nastąpiło; ożywiło to nieco pułki, lecz bezczynność wszystko strawiła, a żołnierz czując i widząc wysilenia swe bezużyteczne, wprowadzony w gnuśnienie, choć dobrym żołnierzem być nie przestawał, rozmyślał nad przeszłością, wywiązał w sobie żal za błyskotkami z czasów W. księcia, za gratyfikacyami i tp., to już robiło niesmaczne wrażenie. A oficerowie? Wyżsi pełnili swą powinność, trzymani nie tyle wiarą ile honorem wojskowym, wiarę tem więcej tracili; niżsi, także powoli na duchu upadali, i uskarżali się na to, iż więcej dyplomacyi niż ostrza oręża ufają ci, którzy losami narodu sterują.

Był to czas najczynniejszy matactw dyplomatycznych, a wojsko bezczynne gnuśniało dwa miesiace; dodano nam nieco rekruta i do każdej kompanii po kilkunastu Moskali z tych jeńców, którzy jako ochotnicy oświadczyli się z chęcią służenia w naszych szeregach. Żołnierz ten, gdy uczuł zwolniony moskiewski rygor, stawał się krnąbrnym i zuchwałym, psuł tylko subordynacyą szeregów naszych, musieliśmy przeciw nim wyjątkowo ostre subordynacyjne środki praktykować.

W tym czasie cholera była najzjadliwsza i w wojsku i w Warszawie, nasz pułk jednakże nie wiele liczył wypadków, najwięcej ucierpiały młode pułki.

W tym też czasie robiliśmy bezskuteczną wyprawę Jankowskiego przeciw Rydygierowi; znów batalion nasz odprowadzał do korpusu stojącego pod Kałuszynem, bateryą dział pozycyjnych; dalej w Płocku wraz z dywizyą generała Milberga przeciw dziesięcio-tysięcznemu korpusowi, który jak cała armia Paszkiewicza oddziałami, flankowym marszem przechodziła wzdłuż Płockiego ku granicy Prusaków, by pod zasłoną słupów pruskich przeprawić się przez Wisłę na jej brzeg lewy.

Gdy rzeczony dziesięcio-tysięczny korpus flankiem po przed naszym frontem defilował, a było tak blisko, że go widzieliśmy, nasz dywizyoner Sierawski, generał pełen ducha i energii, chciał go zaczepić i znieść; nie mógł jednak tego uczynić bez współudziału dywizyi Milberga. Lecz ten małoduszny generał, na wezwanie Sierawskiego bezczelnie odpowiedział: „Gdy zniesiemy ten korpus, to Mikołaj przyszle w jego miejsce inny, więc ta robota do niczego nie posłuży“, i współudziału odmówił. Tak więc ów korpus niezaczepiony, przeszedł, a my wróciliśmy nazad i przeszedłszy Wisłę pod Modlinem, stanęliśmy z tamtej strony Warszawy, w okolicy „Czystego“. W kilka dni wymaszerowaliśmy do Błonia i w okolicy batalionami nas na kwaterach rozłożono; a znów w dni kilka około pierwszego sierpnia, dywizya zebrała się pod Sochaczowem, gdzie i sam Skrzynecki z więcej dywizyami piechoty i kawaleryi przybył. Było to bowiem w tym czasie, kiedy Paszkiewicz z armią swą przeprawiwszy się na granicy pruskiej przez Wisłę, skoncentrował swe siły w okolicy Łowicza, by przeciw Warszawie zaczepne rozpocząć działania.

Staliśmy nad rzeką Bzurą, a prócz tego dzielił nas od stanowiska nieprzyjacielskiego pas błotnisty. Zdawało się, iż tu stoczoną zostanie walna bitwa, lecz do tego jakoś nie przyszło, tłumaczono, iż leźć w błota szukając Paszkiewicza, nie było taktycznem; zaś Paszkiewicz musiał znać reverencyą przed naszem wojskiem, kiedy nas nie atakował, a taki atak był spodziewany.

Gdyśmy pod Sochaczew nadciągnęli, brygada nasza przeszła rzekę i zajęła wysunięte stanowisko; za mostem był kilkunasto, a może kilkadziesiąt morgowy lasek starej dość rzadkiej dębiny; obsadziliśmy całą brygadą ten lasek. Atak, podejście nasze rachowano, jako pewne, kazano się go spodziewać, i na przyjęcie naszych gości znaleźć się w pogotowiu. Pierwszej zaraz czy drugiej nocy pod naciskiem spodziewanego napadu, gdyśmy jak to mówią, jednem okiem przy broni spali, budzi nas w pobliżu batalionowy rotowy ogień. Tak byliśmy w pogotowiu, iż nawet żołnierze tornistrów nie zdejmowali. To też w dziesięciu sekundach już staliśmy gotowi do odporu, lecz nieprzyjaciel się nie jawił, a ogień ustał. W kilka minut rzecz się wyjaśniła: był to fałszywy alarm, ale bardzo smutny alarm; zdarzenie było takie: jeden z batalionów 14. pułku wracający z patrolu, idąc na swoje miejsce, przechodził obok stanowiska drugiego batalionu tegoż pułku. Żołnierz stojący przed bronią mając uwagę nabitą spodziewanym napadem, zobaczywszy przeciągającą kolumnę swoich, był pewnym, że to podchodzą Moskale, więc nie zawoławszy „Kto idzie“ z karabina wypalił, a za nim cały batalion zerwał się, i widząc przed sobą kolumnę, dał do niej rotowego ognia. Była to pomyłka, pomyłka świadcząca z jednej strony o wyrobieniu się młodego żołnierza, z drugiej zaś smutna, bo dziewięciu trupów a czternastu rannych padło.

W kilka dni dywizya nasza opuściła Sochaczew, a zajęła stanowisko o milę na lewo, także nad Bzurą pod Bolimowem. Ztamtąd pewnego dnia po południu my zrobiliśmy, to jest nasza dywizya i kilka pułków kawaleryi wyprawę do Arkadyi i Nieborowa w kierunku ku Łowiczowi. Wyprawa nasza tak była niespodzianą, iż moskiewskie oddziały naprzód ku nam wysunięte, zastaliśmy przy czyszczeniu broni, jaką rozebraną obciągali, a myśmy niemało onej zabrali. Lecz co ważniejsza, bylibyśmy W. księcia Michała jedzącego najspokojniej obiad w Nieborowie schwytali, gdyby nie szpieg żyd, który w ostatecznej chwili ostrzegł. Żyd ten nie zdołał uciec, dostał się w nasze ręce, i oczywiście powieszonym został. Tak to w całej kampanii żydzi byli nam wrogami, a służyli Moskalom.

Z Nieborowa nazad do Bolimowa, Moskale się wywabić nie dali, i znowu bezczynne gnuśnienie.

Nie powiem, iżby nasz żołnierz był zdemoralizowanym, tego wcale nie było, owszem wprowadzony w bój, z równem jak dawniej byłby wystąpił męstwem, a po pierwszem powodzeniu, wróciłby duch i wiara w pomyślny obrót sprawy, i wiara w siebie samego, który to duch i wiara ciągłymi zawodami osłabione zostały.

Gdy armia nasza stała pod Sochaczowem, nadciągnęła ta część korpusu Giełguda, jaką pułkownik Dembiński z Litwy przyprowadził.

Zdaje się, że w końcu byłoby musiało

przyjść do walnej bitwy, gdyby nie wypadki warszawskie z dnia 15. sierpnia i zmiana naczelnego wodza. Po tych wypadkach niezwłocznie nastąpiło ściągnienie całej armii pod Warszawę. Moskale za nami w ślad postępowali, i mieliśmy pod Szymanowem jako aryergarda małą potyczkę, pochód jednak nie wstrzymany, porządek nie nadwerężony. W nocy stanęliśmy pod murami Warszawy od Wolskich rogatek. Drugiego dnia nieszczęśliwa wyprawa czy rekonesans pułk. Galois. Wziął on 2gi i 3ci batalion naszego pułku; trzy szwadrony jazdy kaliskiej zwanych koliszanami, a w języku żołnierskim „gratyfikacyą kozacką" bo im zawsze kozacy, wedety i placówki zbierali; tudzież 2 działa. Karyerowicz, ten i awanturnik, bez żadnych tak zalecających precedencyi, porówny w tej mierze Ramoryniemu, na dowódzcę brygady wyniesiony, otrzymał rozkaz, jak to świadczy *Księga ruchu* *) sztabu głównego, by z tą komendą posunął się jako rekonesans o pięć wiorst drogi od rogatek Wolskich. Tym czasem zadowolony, iż placówki kozackie przed nim ustępują, bez złej myśli, albo też i w złej myśli zapuścił się w odległość 9 wiorst, i tam wciągnięty w zasadzkę, gdzie oddział nasz zobaczył się obskoczonym przez mnogość różnej broni kawaleryi. Bataliony nasze sformowały karée, ale Kaliszanie, nie czekając starcia zsiedli z koni. Tu nastąpiła straszna szarża kawaleryi na naszą piechotę, bataliony szarże te mężnie wytrzymały, i byłyby się utrzymały do nadejścia odsieczy, lecz Moskale wytoczyli przeciw nim 12 dział pozycyjnych, którym oprzeć się nie było podobna, albowiem całemi ławami ludzie padali od pocisków kartaczowych. 3ci batalion uległ pierwszy, a 2. batalionu dowódzca major Kuhn, dzielny żołnierz, resztki swego batalionu wprowadził do karczmy i ztamtąd jeszcze długo się bronił, kładąc trupem wielu Moskali. Uległy nasze bataliony, straciwszy większą połowę ludzi poległych, ale też i Moskali drogo to zwycięstwo kosztowało, bo obrona przechodzi wszelkie opisy podobnych wydarzeń wojennych. Z pułku całego został tylko batalion 1szy, do którego wcielono tych z innych batalionów, którzy dnia tego byli na służbie lub z lazaretów wracali. Batalion 1szy liczył podówczas 800 ludzi. Na drugi dzień po tej nieszczęśliwej katastrofie brygada nasza to jest jedyny bat. naszego pułku i 14ty pułk zajęły szaniec czy okopy Wolskie. W miejsce do niewoli wziętego pułk. Galois, dowództwo brygady naszej objął pułkownik Dąbrowski.

Moskale coraz ciaśniej otaczali Warszawę i widocznie przygotowali się nas zaatakować; kolumny moskiewskie mieliśmy na oko. Dnia 21. sierpnia dywizya nasza przydzieloną została do korpusu gen. Ramorino, którego zadaniem było oczyścić z Moskala prawy brzeg Wisły, a to w celu, jak utrzymywano, by Warszawa od strony Pragi w żywność zaopatrywaną być mogła. Że zaś były prezes Rządu Narodowego książę Adam Czartoryski i były naczelny wódz Skrzynecki, z tym korpusem z Warszawy wyjechali, a pułkownik Władysław Zamojski objął szefostwo sztabu tego korpusu, dało to powód różnym domniemaniom, których rozbierać tu nie miejsce.

Do korpusu tego należał wybór wojska; z pieszych dywizya nasza gen. Sierawskiego i 5ta dywizya gen. Bilińskiego, złożona z 1, 5, 13, 17 pułków i jednego batalionu 2go pułku piech., dział 40 i dwie dywizye kawaleryi złożone z 1, 2, 5, 9 ułanów, 2 szaserów, legii nadwiślańskiej i karabinierów. Z powodu wielkiej ulewy, korpus dzień 22gi sierpnia przestał na Pradze, i dopiero 23go wyszedł z Pragi, dywizya nasza wzięła się na prawo po nad Wisłę traktem do góry Kalwaryi. Ztamtąd kierunek zmieniony ku Brześciowi litewskiemu, idąc przez Żelechów. Moskale wszędzie ustępowali; był to korpus Gołowina, liczący 10.000 ludzi. Dopiero o parę mil przed Międzyrzeczem leżącym przy głównym trakcie idącym do Brześcia z Siedlec (marszem naszym przez Żelechów, obeszliśmy Siedlce, już mniej ważny punkt od czasu jak Liwiec przestał być linią operacyjną), mieliśmy małą utarczkę, tu pierwszy raz widziałem poległego od cięć pałaszowych, był to huzar. Na drugi dzień stoczyliśmy bitwę ze skoncentrowanym korpusem Gołowina pod Międzyrzeczem. Dodać muszę co wprzód przepomniałem, że korpus Ramoriniego liczył 20.000 żołnierzy.

Gołowin obrał Międzyrzecz i tu spodziewał się nacisk naszego korpusu wstrzymać, albowiem Międzyrzecz stanowił bardzo obronną pozycyę, niemal forteczną. Miasteczko to leży nad rzeczułkami, a ze strony frontowej obsadzone podwójnym rzędem lip w półkole, tak, że umieszczony tam korpus moskiewski stał jakby w fortecznem zasłonieniu. Wyparować go z tamtąd równało się zdobyciu fortyfikacyjnego stanowiska. Z Międzyrzecza prowadzą do Brześcia dwa trakty: jeden murowany przez Rogoźnicę, dalszy; drugi, gościniec zwykły bliższy. Moskale na wszelki wypadek zachowując dla siebie drogę odwrotową przez Rogoźnicę, zniszczyli mosty na gościńcu prywatnym.

Gołowin był pewnym, iż nas tu zatrzyma i w tym celu korpus swój w okrąg lipowy ustawił. Silny ogień artyleryi rozpoczął akcyą i głównie artylerya tu działała. Kolumny naszej piechoty nie widząc nieprzyjacielskiej, bo tamta zasłoniona lipami — wykonywały ukośne poruszenia takie, jakie się praktykują przy ataku na szańce, i tak blisko nasz batalion, a może i inne także się podsuwały, iż moskiewska artylerya raziła nas rdzennemi, to jest bez elewacyi granatami.

Gołowin straciwszy nadzieję wstrzymania nas, rozpoczął około godz. 4ej odwrót traktem murowanym do Brześcia na Rogoźnicę, o milę drogi w tyle Międzyrzecza leżącą. W avantgardzie swej wyprawił 12 dział; pułk ułanów świeżo do armii nadeszły, a więc kompletny i świetnie wyglądający; wreszcie piechoty trzy kompletne bataliony jeszcze w ogniu nie byłe.

Lecz dowódzcy nasi odwrót Gołowina przewidzieli i uprzedzili. Oto gen. Biliński, na czele 1go i 5go pułku piech. lin.; dywizionu 2go pułku Szaserów, i jednego czy dwóch plutonów artyleryi, niepostrzeżenie okalając na lewo Międzyrzecz, stanął pod Rogoźnicą i Moskalom tył zabrał w miejscu, gdzie gościniec wsuwa się w ciąg błot i takowe ćwierćmilową groblę przebywa. Nad błotami leży mała wioska Rogoźnica. Pola tam kamieniste, rolnik z roli kamienie uprząta, i niemi zastępuje drewniany materyał na ogrodzenie, okładając ogrody wałem z takich kamieni. Tak na tej pozycyi wałem na dwa łokcie wysokim obłożonym był smętarz i kilka ogrodów, stało też w pobliżu kilka stodół wiejskich.

(Dok. nas.)

*) Wedle objaśnienia danego mi przez podszefa sztabu głównego pułkownika Chotomskiego, jest to księga, w którą się wkładają w oryginale rozkazy sztabu głównego, w razie dochodzeń śledczych, udają się do autentyków w niej zachowanych. Była ona zamknięta na trzy klucze, z których jeden znajdował się w ręku naczelnego wodza, drugi u ministra wojny, trzeci u szefa sztabu. Pułk. Chotomski utrzymuje, iż wedle dokumentów księgi ruchu, gen. Jankowski powinien był być uniewinnionym. Lecz w tym razie winnym byłby się okazał sam Skrzynecki.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Ciąg dalszy.)

Dnia następnego nad ranem, stanęliśmy w przystani Beirutu, ze stałem przedsięwzięciem odpłynięcia dalej w jak najkrótszym czasie; jednak uwiedzeni nęcącym widokiem miasta w amfiteatr zbudowanego, wspaniałym krajobrazem najpiękniejszych wiosek i willi w guście maurytańskim na wyżynach rozsianych, i sadów migdałowych, i Libanu okrytego srebrzystym szronem, pozostaliśmy tu dni cztery, oczekując codziennie przybycia *Lloyda* a zarazem ciesząc się skrycie w duszy, że nie nadchodzi....

Po czterodniowej ciszy znowu tu usłyszałam turkot powozów, od którego byłam się odzwyczaiła tak dalece, iż poniekąd z przerażeniem witałam ów hałas, myśląc, że grzmoty zwiastujące burzę. 80.000 mieszkańców, różnej narodowości, zamieszkuje Bejruth — handel ożywiony, kupy zboża na sprzedaż zalegają ulice, sklepy z przysmakami wschodniemi, konfiturami, chlebem sułtańskim w rozmaitych postaciach i barwach.... Bazary z kosztownemi materyami wyrobu krajowego, — fabryki ręczne tkanin jedwabnych, które z zajęciem parę razy zwiedziliśmy, przypominające sobie narzędzia naszych tkaczy wiejskich, z tą różnicą, że zamiast prostych szarych nitek na cywkach: różnokolorowe delikatne jedwabie są tu nawinięte; piękne tu wyrabiają chusteczki jedwabne, Kufie zwane, cienkie, przytem bardzo miłe i ciepłe. Szale i chustki pod nazwą tureckich, po wysokich cenach są do nabycia, lecz tegoczesne wyroby nie wyrównują już w miękkości i cienkości dawnym; gdzieniegdzie tylko, jako skarb przechowane, pokazywano nam, stare nawet brudne kawałki, które prawdziwi miłośnicy i znawcy przepłacając nabywają. W porównaniu zaś życie nadzwyczaj tanie: w hotelu europejskim płaciliśmy dziennie od osoby 8 franków mając wszelkie wygody i utrzymanie, iż na myśl nam przyszło, zimę następną z całą rodziną tu przepędzić! Jedną tylko palmę widzieliśmy w całym Bejrucie, i zdaje się, że ostatnią wysuniętą na północ! Codziennie po obiedzie parę godzin przeszło nam na przechadzce nad morzem, wracając wieczorem, z ciekawości wstępywaliśmy na turecką kawę, do tak zwanych kawiarń, złożonych z kilkudziesięciu desek, spoczywających na kilku chwiejących się palach, umocowanych w morzu, pod dachem w pół turcicami i w pół obwisłemi matami pokrytym, mającymi boki otwarte, i mnóstwo Arabów po całych dniach grających w domino i pufa. Przy każdem silniejszem uderzeniu bałwanów, kawiarnia drżała. Przed parę laty czytałam w dziennikach naszych o strasznym wypadku w Smyrnie, gdzie, podobna kawiarnia podczas festynu z parą set osobami zapadła się, ale publiczność zagłębiona w grze lub w nargilach, nawet uwagi na podobne niebezpie-

czeństwo nie zwraca. Przestrzegano nas i dziwiono się, że sami w odległe uliczki zapuszczamy się; mimo to żadne niemiłe zajście z ludnością tutejszą nie spotkało nas, chociaż nieraz gromadka ciekawych, garnęła się ujrzawszy nas, spoczywających wśród pól i skał nadmorskich. Raz nawet obdarzył mię mały Arabek kilkoma polnymi kwiateczkami, nie żądając bakczisa! tem cenniejsze są mi one, bo bezinteresowną sympatya ku nam, dar ten wywołała.

Na wzgórzu ku południowi, opodal miasta dominuje wspaniałe lyceum, świeżo wzniesione staraniem Amerykanów dla użytku kształcących się tutaj lekarzy i farmaceutów. Poniżej zbudowano wieżyczkę dla obserwowania przechodzącej właśnie w 1875 r. przez tarczę słoneczną planety *Venus*.

Przy pierwszem śniadaniu w hotelu europejskim, poznawszy w nas Polaków, oświadczył nam uprzejmy gospodarz Francuz, że w Beirucie znajduje dużo naszych rodaków, i w istocie niezabawem przyszedł powitać nas kapitan dragonów sułtańskich, (Jaroszewski), który potwierdził słowa gospodarza, dodając, że między innymi jest tu Bimbasza (major) *Monasterski*, lekarz *dr. Majewski* ze Lwowa, wreszcie że gubernatorem Bejrutu jest również Polak *Freund* (Mehmed hamdi pasza) i że wszystkich ich przybycie nasze interesuje i cieszy. Mój mąż poszedł odwiedzić majora, z którym, jak to u nas łatwo, dalekie nawet rodzinne związki go łączyły, a później postanowił złożyć wizytę gubernatorowi.

Major Monasterski mieszkający tu od lat dwudziestu kilku, posiwiał na obcej ziemi i dobił się dość niezawisłego stanowiska; ożenił się z młodą i piękną Greczynką, a dzieci jego prawie już nie rozumieją po polsku... Z lekarzem tutejszym, dr. Majewskim, udał się mąż mój z wizytą do gubernatora. Przebywa on w koszarach ogromnych, ślicznie nad morzem położonych; zastali go siedzącego na dywanie w fezie i pantoflach. Na klaśnięcie w dłonie wyniósł murzyn fotele dla nich, podał papierosy i czarną kawę. Freund (żyd Polski) wyznał że jest Polakiem nieźle dotąd władającym swym rodowitym językiem, który po upadku węgierskiego powstania, uszedł do Turcyi, został renegatem i dosłużył się rangi gubernatora. Opisywał on bieg życia swego, obliczał miesiące służby, aby co rychlej mógł się spensyonować i osiąść w Galicyi, gdzie miał zamiar kupić wioskę pod Lwowem, spraszać sąsiadów na preferansa...

Męża mego oprowadzał po koszarach i pokazywał żołnierzy, którzy choć obdarci, ale silnie zbudowani, okrzykiem go witali. Mąż mój układał sobie odwidzić go w jego willi za miastem, bym mogła poznać jego żonę, bo ma tylko jedną i do tego Siedmiogrodziankę, lecz niestety nie przyszło do tego, bo dowiedzieliśmy się ze smutkiem, że Freund tylko w obecności Polaków udaje Polaka, dla Niemców, jest on nawskróś Niemcem... Gdy przy obiedzie do Niemca sąsiada wyrzekłam, że gubernatorem Bejrutu jest Polak, z oburzeniem odparł, że się mylę, gdyż właśnie tego samego dnia złożył hołd Freundowi, i ten mu się do narodowości germańskiej przyznał.

Konstantynopol.

W całej naszej wycieczce, Bejrut był miejscem, z którem rozstawaliśmy się z największym żalem, bo szczególnie wabi ku sobie słodyczą krajobrazu. Okazał się nam nareszcie oczekiwany statek „Apollo“ i wziął nas pod swe skrzydła opiekuńcze na dni ośm. Nazajutrz zatrzymaliśmy się przy wyspie Cypr koło miasta Laznaka. Kilkanaście godzin odległości, a jakaż różnica w sklepieniu nieba i wegetacyi? Jakkolwiek można było otrzymać od kapitana okrętu pozwolenie udania się na brzeg wyspy, wszelako dla mocnego falowania morza nie korzystaliśmy z tego ustępstwa. Paki przeznaczone dla Jaffy już trzeci miesiąc przerzucane ze statku na statek w nadziei, że może raz przecie zdołają się dostać na miejsce, z Apolla po setny raz, na okręt dążący ku Jaffie ładowano.

Pod wieczór powstał gwałtowny wiatr, a silnie wzburzone morze nie dozwoliło zatrzymać się na wyspie Rodus, którą, jako ojczyznę pięknej rzeźby, Laokona ciekawie wyglądałam. Wpłynąwszy dnia następnego w Archipelag grecki, pomimo najjaśniejszego słońca, fale srebrzyste ale gniewne piętrząc się rzucały nami na wsze strony; roje wysepek występujących na powierzchnię morza i ukrytych zdradziecko, wymagały wielkiej baczności kapitana, który też bezustannie stojąc z lunetą na wysokiej galeryjce, wydawał rozkazy.

Z daleka mglawo odrysowuje się wysepka Milo, szczycąca się swym arcydziełem, sławną Venus z Milo, dziś w zbiorach rzeźb w Luwrze uwięzioną. Po prawej stronie dosyć blisko pomija się wyspę Thenedos, na szczycie wzniosłej góry, bieleją się mury miasta, gdzie to św. Jan miał pisać swoją Apokalipsę.

Z tęsknotą wyglądaliśmy przyobiecanej wkrótce Smyrny, bo miło było myśleć o dłuższym wypoczynku, a następnie cieszyliśmy się na odszukanie i widzenie choć nam nieznajomego osobiście poety, Karola Brzozowskiego, o którym nam mówiono, że tu zamieszkuje, tymczasem on tylko w okolicy Smyrny posiada jakąś własność, a sam mieszka w Lattaqui. Z żalem nie odszukaliśmy go naówczas, a przebiegając rozmaite dzielnice miasta, cóż za niespodzianka była dla nas napotkać w dziedzińcu jednego kościoła, piękny kamienny nagrobek z polskim napisem, że tu spoczywa ostatni potomek Paców. Zatrzymawszy się przed tym nagrobkiem chwilę, odszukaliśmy jeszcze kilka kamieni, kryjących zwłoki innych naszych rodaków.

Miasto Smyrna jest zbudowane w kotlinie otoczonej górami, na których śnieg już bieleje... Palmy pod tą strefą nie rosną wcale, tylko gaje cyprysowe urozmaicają wzgórza; pomimo to klimat bardzo łagodny, wydaje rozmaite południowe owoce, prócz daktyli i bananów.

Zdaje mi się, że tu przeważa typ turecki, bo już mało słyszy się mowę arabską, którą zastępuje turecka dla ucha szorstko brzmiąca. Zwiedzaliśmy i tu bazary, bo widokiem oryentalnych produkcyi i produktów nie może się oko nasycić. Niespodzianie zmuszoną zostałam do kupienia szalu tureckiego, bo spoczywając przedtem na kamieniach nad brzegiem morza, zapomniałam o plaidzie moim podróżnym, na którym usiadłam, i uszedłszy kawałek dopiero spostrzegłam, że go nie mam. Odwróciwszy się, widzieliśmy tylko z daleka umykającego Araba z plaidem, a tu Appollo począł świstem wzywać do dalszej drogi... Pożegnałam tedy mój szal ostatniem wejrzeniem, i spokojne zaledwie pomarszczone wody zatoki Smyrneńskiej poniosły naszą łódkę ku statkowi. Jeszcze godzinę przygotowywano się do odjazdu, i tem dłużej dozwolono nam było napawać się uroczym widokiem słońca, które chyląc się ku zachodowi, w tysiące odcieni przyoblekło wzgórza; spokój jakiś błogi ogarnął całą naturę; w tem z dwóch pancerników austryackich „Radecki“ i der „Kaiser,“ stojących w zatoce, odezwały się czarowne tony; dwie orkiestry będące na statkach odegrały hymn austryacki, potem melodyą Körnera tak dobrze nam znaną „Ojcze błogosław mnie“ — była to wieczorna pobódka którą znowu, zgrzytający szczęk podnoszonej kotwicy naszego statku, zakończył.

Liczne grono pasażerów nadewszystko drugiej i trzeciej klasy, napełniało statek; pod otwartem niebem koło maszyny, porozkładani Turcy, Arabowie, Grecy, oddawali się uśpionej, bezmyślnej medytacyi, drudzy przyrządzając jakieś potrawy pokrzepiali swe siły; tu znowu kilku rzewnie przyśpiewując podziwiali się nawzajem swojem tureckiem a—a—a—a—, drób i barany zaokrąglały towarzystwo, nic by było nie przerwało tego kiefu, gdyby nie piękna z ludu dziewica, Greczynka, smukła z rozpuszczonymi kruczymi włosami, która wzbudziła zazdrość w dwóch rywalach; powstała ztąd bójka, którą kapitan, pan życia i śmierci na swoim okręcie, uspokoił, zamknąwszy Greczynkę w osobnej kajucie na czas reszty drogi... W oddziale drugiej klasy przechadzał się prowadząc dwie małe córeczki *Effendi* (tak się zowie piśmienny człowiek w Turcyi); dziewczątka miały paznogcie na czerwono pofarbowane, co jest oznaką elegancyi i wybrednego gustu, rozmawiały z nami choć nawzajem nie rozumieliśmy się; jechały z owym Turkiem trzy jego żony, w szczupłej jednej mieszcząc się kajutce, jednej z biedaczek przybył synek w podróży, którego chcieliśmy okrzyczeć poddanym austryackim, gdyż się na *Lloydzie* urodził.... (C. d. n.)

PTASIA PARAFIA.

Jak gdyby wnętrze gotyckiego tumu,
Majestatycznie dźwignął się bór stary,
Kopułę z liści, pełną wichrów szumu,
Potężne sosen wspierają filary.

Brunatny warkocz przywiędłej brzeziny,
Zbłąkanym słońca barwiony promieniem,
Gdzieniegdzie, na tle pomroków gęstwiny,
Niby w pół startem rzeźb lśni się złoceniem.

Gdzieniegdzie także, dziwacznie skurczony,
Lub prosto nagim strzelający drągiem,
Suchy pień dębu, z za listków osłony,
Świętym w framudze zda się być posągiem.

I kiedy z niebios spłynie kir wieczoru,
Wnet, co stos chróstu, lub kłoda spróchniała,
Tysiąc tam lampek, mdłym blaskiem fosforu,
Iluminując przybytek, zapala.

Nie brak też, nie brak i pierwszego cechu,
Byleb na jutrznię zadzwonił skowronek,
Skrzydlate bractwo budzi się w pospiechu,
I do nucenia bierze się koronek.

Cietrzew zakrystyan, zamaszysta sztuka,
Kiepską łaciną „Pater noster“ szepce,
A dzięcioł szwajcar, dzióbem w sosny puka,
Jakby kwestarskiej przodował torebce.

Babina z kruchty, w dziuple swoim sowa,
W ferworze modłów, krągłe mruży oczy,
„Et cum spiritu!“ połykając słowa
W białych komeszkach, zastęp trzepie sroczy.

Ksiądz proboszcz wreszcie, lub lepiej wikary,
Głuszec, najgrubszy z ptactwa w okolicy,
Wlazł na szczyt dębu, włożył okulary,
I coś bełkoce, jakby z kazalnicy.

Ot i parafia ściąga się powoli,
Pan Bocian dziedzic z błotka, co pod lasem,
Pani Przepiórka idem, z bliskiej roli,
W pierwszej się ławie rozsiedli z hałasem.

W drugiej, pan Gawron, profesor ze szkółki,
Czarno, poważnie, odzian, oczywiście,
Siadł obok wrony, swojej przyjaciółki,
Wdowy po starym kruku, kanceliście.

A dalej wróble, pliszki, et caetera,
Ciżba, lud prosty kląkłszy gdzie kto może,
Ufną modlitwą dzióbki swe roztwiera,
Za ziarnko karmu dziękując ci Boże.

I bodaj, bodaj iż w tej ptasiej zgrai
Szczerzej się Pańskie błogosławi imię,
Mniej się świętoszków i Tartiufów czai,
Niżli gdzieindziej, niż, chociażby, w Rzymie.

Paryż dnia 4. października 1876 r.

J. S. Chamiec.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Ciąg dalszy).

II.

Wieczorem, Joanna uczuła się lepiej. Mogła wstać. Chcąc uspokoić matkę uparła się, i powlekła do sali jadalnej, gdzie siadła przed próżnym talerzem.

— Nic mi nie będzie — mówiła usiłując uśmiechnąć się. — Wiesz dobrze, że jestem gratem do niczego... Jedz, chcę żebyś jadła.

Ona sama nie mogła nic przełknąć, ale widząc, że matka spostrzega jej bladość i dreszcze, zaczęła udawać, że ma chęć do jedzenia. Obiecywała zjeść trochę konfitur. Helena pospieszyła dogodzić jej, a dziecię uśmiechnięte patrzyło na nią ze swym wyrazem uwielbienia; lekkie drganie nerwowe poruszało jej główką. Przy deserze chciała dotrzymać obietnicy. Ale łzy zawisły na powiekach.

— Nie mogę przełknąć — szepnęła. — Nie gniewaj się na mnie.

Czuła okropne zmęczenie. Nogi jej zdawały się być martwe, żelazne kleszcze ściskały ramiona. Ale starała się być mężną, i powstrzymywała się od lekkiego krzyku, który wyrywał się jej z ust przy gwałtownym bolu szyi. Na chwilę jednak zapomniała się i skurczyła z bolu. Matka widząc ją tak mizerną, tak słabą, a zarazem tak godną kochania, nie mogła dokończyć gruszki którą usiłowała zjeść. Łkanie dławiło ją. Upuściła serwetę i wzięła Joannę na ręce.

— Moje dziecię, moje dziecię... — szeptała, a serce jej pękało patrząc na tę salę jadalną, gdzie mała, będąc zdrową, tak często ją bawiła swem łakomstwem.

Joanna prostowała się i starała uśmiechnąć.

— Nie martw się, to nic, z pewnością... Teraz kiedy skończyłaś, położysz mię znowu... Chciałam cię widzieć u stołu, bo znam cię, nie byłabyś przełknęła ani taki kawałek chleba.

Helena uniosła ją. Przesunęła jej łóżeczko do swego pokoju i ustawiła przy swem łóżku. Joanna położywszy się uczuła się daleko lepiej. Uskarżała się tylko na głuchy ból z tyłu głowy. Cierpienie zdawało się potęgować jeszcze namiętne jej przywiązanie do matki. Helena musiała ją ucałować i zapewnić uroczyście, że bardzo ją kocha i obiecac, że ucałuje ją jeszcze, kiedy się położy.

— Chociażbym spała to nic — powtarzała Joanna. — Zawsze cię czuję.

Zamknęła oczy i usnęła. Helena siedziała przy niej patrząc na jej sen. Kiedy Rozalia weszła na palcach, pytając się czy może się położyć, kiwnięciem głowy odpowiedziała potwierdzająco. Jedenasta wybiła, Helena nie ruszyła się jeszcze z miejsca, kiedy wtem zdawało się jej, że słyszy lekkie pukanie do drzwi schodów. Wzięła lampę i bardzo zdziwiona, poszła zobaczyć coby to być mogło.

— Kto tam?

— Ja, proszę otworzyć — odpowiedział głos przytłumiony.

Był to głos Henryka. Spiesznie otworzyła, znajdując przyjście jego zupełnie naturalnem. Zapewne dowiedział się o słabości Joanny, i przybiegł, chociaż go nie wzywała; rodzaj wstydu ogarniał ją na myśl, że on ma dzielić z nią troski o zdrowie jej córki.

Ale Henryk nie dał jej czasu mówić. Drżący, z twarzą zapłonioną, szedł za nią do sali jadalnej.

— Proszę, przebacz mi pani—wyjąkał chwytając ją za rękę.—Od trzech dni nie widziałam cię, nie mogłem się oprzeć potrzebie widzenia cię.

Helena usunęła rękę. On cofnął się i patrząc na nią, mówił dalej:

— Nie obawiaj się, kocham cię... Zostałbym przy drzwiach, gdybyś mi nie była otworzyła. Wiem, że wszystko to szaleństwo, ale kocham cię, kocham...

Słuchała go milcząc, z miną poważną i surową, co okropnie go męczyło. Potok słów namiętnych, malujących stan duszy, gwałtownie popłynął wówczas z ust jego.

— Och! po cóż gramy tę okropną komedyą?... Nie mogę więcej, serce by mi pękło; dopuściłbym się szaleństwa gorszego jeszcze jak to dziś; porwałbym cię w obec wszystkich i uniosłbym...

Opanowany szaloną żądzą wyciągnął ręce. Zbliżył się, całował jej suknię, ręce jego gorączkowo drżały. Ona stała sztywna, lodowata.

— To pan nie wiesz o niczem? — spytała.

On tymczasem pochwycił był jej rękę, obnażoną pod szerokim rękawem kaftanika rannego i chciwymi pocałunkami okrywał ją; zniecierpliwiła się wówczas na chwilę.

— Przestań pan! Widzisz przecie, że nie słucham cię nawet. Czyż mogę myśleć o tem!

Uspokoiła się i znowu powtórzyła pytanie.

— A więc, nie wiesz pan o niczem?... Córka moje słaba. Rada jestem żeś pan przyszedł, uspokoisz mię.

Wzięła lampę i poszła naprzód; ale na progu zatrzymała się, obróciła i, patrząc mu wprost w oczy — rzekła ostro:

— Zabraniam panu mówić o tem tutaj... Nigdy, nigdy!

Wszedł za nią, drżąc jeszcze i nie bardzo pojmując, co do niego mówiła. W pokoju jej, o tej nocnej godzinie, wśród odzienia i bielizny porozrzucanej, znowu oddychał tym zapachem werbeny, który go tak zmięszał był pierwszego wieczora, kiedy ujrzał Heleną z włosem rozrzuconym i w bezładnym ubiorze. W skroniach biło mu gwałtownie, oparł się o małe żelazne łóżeczko dziecka.

— Usnęła — rzekła Helena po cichu. — Popatrz pan na nią.

Nie słyszał jej; namiętność nie chciała ucichnąć. Pochyliła się przed nim; patrzał na jej szyję, gdzie wiły się drobne włosy. Zamknął oczy, by się oprzeć pokusie ucałowania miejsca tego.

— Doktorze, spojrz że, jaka rozpalona... Czy to nic niebezpiecznego?

Wściekła żądza rozsadzała mu czaszkę; machinalnie, ulegając przyzwyczajeniu doktorskiemu, poszukał pulsu Joanny. Ale walka nadto była silna; przez chwilę stał nieruchomie, zdając się nie wiedzieć nawet, że trzyma tę biedną małą rączkę w swej dłoni.

— Jakże, wielką ma gorączkę! tak pani sądzi? — powtórzył.

Mała rączka ogrzewała rękę jego. Znowu nastało milczenie. W człowieku budził się doktor. Liczył uderzenia pulsu. W oczach jego płomień przygasał. Powoli twarz zbladła; pochylił się i z niepokojem uważnie popatrzał na Joannę.

— Atak bardzo gwałtowny — wyszeptał — ma pani słuszność... Mój Boże, biedne dziecię!

Żądza znikła, pozostało tylko pragnienie oddania usługi. Zimna krew wróciła mu całkowicie. Usiadł, rozpytywał matkę o szczegóły, które poprzedziły atak. Wtem mała obudziła się jęcząc. Skarżyła się na okropny ból głowy. Bole w szyi i ramionach stały się tak gwałtowne, że za każdem poruszeniem łkała. Helena klęcząc po drugiej stronie łóżka, dodawała jej odwagi, uśmiechała się, a serce jej pękało na widok cierpienia ukochanej istotki.

— Tu ktoś jest, mamo — spytała, obracając się i spostrzegając doktora.

— To przyjaciel, znasz go.

Dziecię, zamyślone i jak gdyby wahające się, popatrzyło na niego chwilę. Wreszcie wyraz czułości przemknął po jej twarzy.

— Tak, tak, znam go. Bardzo go kocham.

Po chwili dodała z pieszczotliwą minką.

— Trzeba mnie wyleczyć, panie, nie prawdaż? żeby mama była rada... Będę piła wszystko, co mi pan da, z pewnością.

Doktor wziął ją znowu za puls, Helena trzymała drugą rękę; pomiędzy nimi mała z lekkim nerwowym ruchem głowy uważnie patrzyła na oboje, jak gdyby ich nigdy tak dobrze nie widziała. Po chwili ból nowy wstrząsnął nią. Małe rączki skurczyły się i zatrzymały ich dłonie:

— Nie chodźcie; boję się... Brońcie mię, nie pozwalajcie zbliżać się im wszystkim... Was tylko chcę, tylko was dwoje, blisko, bliziutko, przy mnie, razem...

Przyciągała ich, konwulsyjnym ruchem zbliżając do siebie i wciąż powtarzając:

— Razem, razem...

Maligna wracała tak po razy kilka. W chwilach uspokojenia chora usypiała; leżała wówczas jak umarła, bez ruchu, bez oddechu prawie. Kiedy nagle budziła się z tych krótkich chwil odpoczynku, nic nie słyszała, nie widziała nic, oczy jej zamglone były białym obłokiem. Doktor czuwał przy niej część nocy, która była bardzo ciężka. Na chwilę tylko opuścił ją i sam poszedł po lekarstwo. Nad ranem, kiedy już odchodził, Helena niespokojnie wyszła za nim do przedpokoju.

— No, i jakże? — spytała.

— Stan jest niebezpieczny — odpowiedział —

ale błagam panią, nie obawiaj się; spuść się pani na mnie... Wrócę o dziesiątej rano.

Helena, wszedłszy do pokoju, znalazła Joannę, siedzącą na łóżku; z miną obłąkaną spoglądała dokoła.

— Zostawiliście mnie, zostawiliście! — wołała. — O, boję się, nie chcę być sama...

Matka, chcąc pocieszyć, ucałowała ją, ale dziewczynka nie przestała oglądać się.

— Gdzie on? O! powiedz mu, żeby nie odchodził... Chcę, żeby tu był, chcę...

— On wróci, mój aniołku — powtarzała Helena, płacząc wraz z dzieckiem. — Nie opuści nas, bądź tego pewna. Nadto nas kocha... Bądźże grzeczna, połóż się. Będę siedziała tutaj, będziemy czekały na niego.

— Naprawdę, naprawdę? — spytała Joanna, powoli zapadając w głęboki sen.

I tak rozpoczęły się okropne dni, trzy tygodnie straszliwego niepokoju. Gorączka nie ustawała ani na chwilę. Joanna uspokajała się trochę wówczas tylko, kiedy doktor był przy niej i trzymał jednę jej rączkę, a matka drugą. U nich szukała ratunku, dzieliła między nimi swoje uczucie tyranicznego uwielbienia, jak gdyby rozumiała, pod jaką opiekę gorącej miłości oddawała się. Nadzwyczajna czułość nerwów, zwiększona jeszcze chorobą, ostrzegała ją zapewne, że tylko miłość ta mogła cudem uratować ją. Godzinami całemi patrzyła na nich głęboko i poważnie. Cała namiętność ludzka, przewidziana i przeczuta malowała się w tem spojrzeniu umierającego dziewczątka. Nie mówiła nic; wszystko wypowiadała ciepłym uściskiem, błagając ich, by się nie oddalali, i dając poznać, jakiego doświadczała spokoju, widząc ich tak razem obok siebie. Kiedy doktor wchodził wpadała w zachwyt, oczy jej wciąż utkwione we drzwi, któremi miał wejść, radośnie błyszczały na jego widok; usypiała wówczas spokojna i zadowolniona, że słyszy ich, jego i matkę, chodzących koło niej i po cichu rozmawiających.

Nazajutrz po pierwszym ataku, zjawił się doktor Bodin. Ale Joanna, dąsając się, odwróciła głowę i nie dała mu się wyegzaminować.

— Nie, on, mamo — szeptała — proszę cię, nie on.

A że dnia następnego przyszedł znowu, Helena musiała mu powiedzieć o tej niechęci dziecka. Stary doktor nie wchodził więcej do pokoju chorej. Co trzeci dzień dowiadywał się o jej zdrowie i rozmawiał niekiedy z kolegą swoim, doktorem Deberle, który okazywał względy należne wiekowi jego.

Zresztą niepodobna było myślić nawet o oszukiwaniu Joanny. Zmysły jej stały się nadzwyczaj czułe. Ksiądz i pan Rambaud przychodzili co wieczór, siadali i godzinę czasu przepędzali w smutnem milczeniu. Jednego wieczora, kiedy doktor miał odejść, Helena dała znak, by pan Rambaud zajął miejsce jego i ujął rękę małej, ażeby ta niespostrzegła nieobecności swojego ulubieńca. Ale po dwóch czy trzech minutach, Joanna obudziła się, otworzyła oczy i nagle cofnęła swą rękę. I zaczęła płakać, mówiąc, że dokuczają jej.

— Nie kochasz mnie już więc, nie chcesz już mnie — powtarzał biedny pan Rambaud ze łzami w oczach.

Patrzyła na niego, nic na to nie odpowiadając; zdawała się nie chcieć go poznać nawet. I poczciwy człowiek z bolącem sercem wracał do swego kąta. Skończyło się na tem, że wchodził po cichutku, wciskał się we framugę okna i na wpół ukryty za firanką przesiadywał wieczór z oczami, smutnie utkwionemi w chorą. Ksiądz także był tam ze swoją wielką bladą głową na chudych ramionach. Chcąc ukryć łzy, głośno ucierał nos. Niebezpieczeństwo, grożące jego małej ukochanej, tak go niepokoiło, że zapominał nawet o chorych swoich.

Ale napróżno dwaj bracia usuwali się w sam kąt pokoju, Joanna czuła ich wszędzie; przeszkadzali jej, odwracała się od nich z wyrazem cierpienia nawet wtedy, kiedy spała w gorączce. Matka pochyliwszy się wówczas nad nią, słyszała szeptem wyrzeczone słowa:

— O, mamo, boli mię!... Wszystko to mię męczy... Odpraw wszystkich, zaraz, zaraz...

Helena jak mogła najłagodniej przedstawiała wówczas obu braciom, że mała chce spać. Rozumieli ją i wychodzili ze spuszczoną głową. Jak tylko wyszli, Joanna, odetchnąwszy mocno, rzucała spojrzenie dokoła pokoju; potem z niezmierną słodyczą zwracała oczy na matkę i doktora.

— Dobrej nocy — szeptała. — Dobrze mi, zostańcie tutaj.

Przez trzy tygodnie trzymała ich tak koło siebie. Henryk przychodził najprzód dwa razy dziennie, potem przepędzał całe wieczory, a wreszcie poświęcał dziecku wszystek czas, jakim mógł rozporządzać. Z początku obawiał się dla niej tyfoidalnej gorączki; ale tak sprzeczne symptoma objawiały się, że wkrótce sam nie wiedział, co ma myśleć. Przypuszczał, że ma przed sobą jednę z owych chloro-anemicznych słabości, tak nieodgadnionych a tak strasznie się komplikujących w wieku, w którym dziecko przekształca się w kobietę. Następnie bał się choroby serca i początku suchot. Zatrważała go nerwowa egzaltacya Joanny, którą nie wiedział, jak ma uspokoić, a nadewszystko owa silna, uparta gorączka, którą nadaremnie usiłował pokonać najenergiczniejszymi środkami. W kuracyą tę wkładał całą swą energię i całą naukę z tem przeświadczeniem, że chodzi tu o jego własne szczęście, a nawet życie. Wszystko w nim umilkło, oczekując uroczystego rozwiązania; przez całe te trzy tygodnie niepokoju żądza nie odezwała się ani razu; nie drżał już pod tchnieniem Heleny i, kiedy spojrzenia ich spotykały się z sobą, był w nich tylko wyraz smutku, jak u istot, którym grozi wspólne nieszczęście.

A jednak z każdą chwilą serca ich ściślej łączyły się z sobą. Żyli jedną tylko myślą. On, jak tylko wchodził, wiedział już, spojrzawszy na nią, jak Joanna przepędziła noc, i ze swej strony nie potrzebował też jej mówić, jak znajdował chorą; bez mowy odgadywała to. Zresztą, z piękną odwagą macierzyńską wymogła na nim przyrzeczenie, że nie będzie nic przed nią ukrywał, ani taił obaw swoich. Zawsze na nogach, nie poświęciwszy na sen nawet trzech godzin z rzędu, w przeciągu dwudziestu nocy, okazywała spokój i siłę nadludzką; bez jednej łzy pokonywała swą rozpacz, by nie stracić przytomności umysłu, potrzebnej w tej walce o życie dziecięcia. W niej samej i w około niej zrobiła się ogromna pustka; wszystko, co ją otaczało, uczucia jej, a nawet poczucie własnego bytu runęło gdzieś. Nic już nie istniało dla niej. Żyła tylko tą drogą istotką konającą i tym człowiekiem co jej obiecywał cud. Jego tylko, jego jednego widziała, jego najmniejsze słowa miały u niej najwyższe znaczenie, jemu nieograniczenie zaufała, i zdawało jej się, że oddając mu siłę swą, oddaje siebie samą. Głucho, powoli, ale nieprzezwyciężenie, zlanie się to dwóch istot odbywało się. W chwili niebezpieczeństwa, to jest każdego wieczora prawie, kiedy gorączka zwiększała się, oboje byli sami i milczący w wilgotnym pokoju. I jak gdyby chcąc się czuć więcej razem przeciwko śmierci, ręce ich mimowolnie spotykały się na brzegu łóżka i długi uścisk dłoni łączył ich; drżąc z niespokoju i litości czekali tak, dopóki ciche westchnienie chorej, spokojny i równy jej oddech nie oznajmił im, że atak się skończył. Kiwnięciem głowy wzajemnie się uspokajali wówczas. Miłość ich znowu odniosła zwycięztwo. Za każdym razem uścisk stawał się silniejszy, silniejszym związek serc.

Jednego wieczora Helena odgadła, że Henryk kryje coś przed nią. Od dziesięciu minut, nic nie mówiąc, przypatrywał się Joannie. Mała uskarżała się na nieznośne pragnienie; dusiła się, ze spieczonego gardła dobywał się ciągły świst i chrapanie. Potem ogarnęła ją senność; twarz miała bardzo czerwoną, a powieki tak ciężkie, że nie mogła ich podnieść. Leżała tak nieruchomie, że można by ją było wziąć za umarłą, gdyby nie syczenie w gardle.

— Bardzo jest źle, nieprawdaż? — spytała Helena krótko.

Odpowiedział, że nie, że żadnej nie było zmiany. Ale sam był bardzo blady i siedział jak gdyby przytłoczony własną niemocą. Pomimo natężenia wszystkich swych sił, i ona także osunęła się na krzesło, z drugiej strony łóżka.

— Powiedz mi pan wszystko. Obiecałeś mi wszystko mówić. Nie ma już żadnej nadziei?

Milczał; ona dalej mówiła gwałtowniej:

— Widzisz pan, że jestem silną... Czy płaczę? czy rozpaczam?... Mów. Chcę wiedzieć prawdę.

Henryk patrzał na nią wytężonym wzrokiem. Wreszcie przemówił powoli:

— A więc dobrze, jeżeli za godzinę nie opuści ją ta senność, to będzie po wszystkiem.

Helena ani jednem łkaniem nie odpowiedziała na to; zimny pot oblał ją, i włosy powstawały z przerażenia. Spojrzała na Joannę, upadła na kolana i ujęła dziecię w swe ramiona, jak gdyby chcąc bronić praw swoich do niego. Długo trzymała twarz swoją pochyloną nad nią, pojąc się jej widokiem, pragnąc przelać w nią własny oddech, własne życie nawet. Sapiący oddech małej stawał się coraz krótszy.

— I nic już poradzić na to nie można? — zapytała wreszcie, podnosząc głowę. Dla czego stoisz pan tak? Rób cokolwiek...

Zniechęcony, smutnie pokręcił głową.

— Rób pan cokolwiek... — Albo ja wiem co? Cośkolwiek. Musi być przecie środek jaki... Nie dasz jej tak umrzeć. To niepodobna!

— Zrobię wszystko — rzekł tylko doktor.

Powstał. I rozpoczęła się stanowcza walka. Doktorowi wróciła wszystka jego krew zimna i stanowczość. Dotąd nie mógł się odważyć na gwałtowne środki, bojąc się osłabić to ciałko, i tak już mało życia mające w sobie. Ale teraz nie wahał się już; kazał Rozalii przynieść dwanaście pijawek. Nie taił przed matką, że była to rozpaczliwa próba, która mogła uratować lub zabić jej dziecię. Kiedy już przyniesiono pijawki, zawahała się znowu.

— O, mój Boże — szepnęła, mój Boże, jeżeli ją zabijesz...

Musiał wówczas wydrzeć jej zezwolenie.

— Niechże i tak będzie! — przystawiaj je, ale niech cię Bóg natchnie.

Nie puściła Joanny z rąk swych, nie zgo-

*

dziła się podnieść, chciała trzymać jej głowę na swojem ramieniu. On z zimną twarzą, nic już nie mówił więcej, zajęty jedynie środkiem, którego próbował. Z początku pijawki nie przyjmowały się. Czas upływał, w wielkim pokoju o przyćmionem świetle, słychać było tylko nielitościwy i uparty chód zegara. Każda chwila unosiła z sobą część nadziei. W okręgu żółtego światła, padającego z pod zasłony lampy, bieliły się rozrzucone prześcieradła, a wśród nich obnażone, biedne ciałko Joanny, blade było jak wosk. Helena suchemi, palącemi oczami patrzyła na te obumierające członki; byłaby oddała wszystką swą krew, by ujrzeć jedną jej kroplę u córki. Nakoniec czerwona kropla pokazała się, pijawki się przyjmowały. Jedna po drugiej wpijały się w ciało. Kwestya życia chorej rozstrzygała się. Były to chwile straszne, pełne bolesnego wzruszenia. To westchnienie, które podniosło pierś Joanny, byłoż to ostatnie jej tchnienie, czy powrót do życia? Przez chwilę Helena widząc, że dziecko sztywnieje, miała szaloną chęć oderwania tych pijawek, co tak chciwie poiły się krwią jej córki; ale wyższa jakaś siła powstrzymała ją; odrętwiała, z otwartemi ustami siedziała nieruchomie. Wahadło zegara wciąż uderzało, cały pokój zdawał się oczekiwać rozwiązania.

Dziewczynka poruszyła się. Powieki jej podniosły się zwolna; zamknęła je znowu, jak gdyby zadziwiona i zmęczona. Po twarzy przemknęło leciutkie drganie. Poruszyła ustami. Helena chciwie pochylała się, wpatrując w nią z najwyraźniejszym niepokojem i oczekiwaniem.

— Mamo, mamo — szeptała Joanna.

Henryk przystąpił do młodej kobiety i rzekł:

— Uratowana.

— Uratowana... uratowana.... — powtórzyła Helena, jąkając się i taką przejęta radością, że się zsunęła na ziemię, przy łóżku; z miną nieprzytomną patrzyła to na córkę to na doktora.

Nagle zerwała się z ziemi i rzuciła na szyję Henryka.

— O, kocham cię! — zawołała.

Całowała go, ściskała. W tej groźnej dla serca jej chwili wyznanie miłości, z którem tak długo zwlekała, samo się wyrwało. Matka i kochanka połączyły się z sobą; jedna niosła w ofierze wdzięczność, druga miłość, którą wdzięczność potęgowała.

— Płaczę, widzisz, mogę płakać — szeptała. — Mój Boże, jakże cię kocham, jakże będziemy szczęśliwi.

Mówiła do niego ty i płakała. Źródło łez, wyschłe od trzech tygodni, spłynęło po policzkach. W chwili tej wszystkie uczucia jej doszły najwyższego rozkwitu; stała w objęciu jego z pieszczotą i poufałością dziecka. Potem znowu upadła na kolana i uśpioną Joannę oparła o swoje ramię; córka jej odpoczywała, ona od czasu do czasu podnosiła na Henryka wilgotne oczy, w których błyszczała miłość.

Szczęśliwa to była noc. Doktor pozostał do bardzo późna. Joanna zmęczona, ale czująca się lepiej, z oczami zamkniętemi leżała nie śpiąc; ciemna jej główka opierała się na poduszkach, a delikatne ciałko wyciągnięte przykrywała kołdra aż po szyję. Lampa stojąca na stoliku, który przysunięto do komina, oświecała tylko jeden róg pokoju; niepewny cień osłaniał Henryka i Helenę siedzących na zwykłem miejscu, po obu stronach wąskiego łóżka. Ale dziecię nie rozdzielało ich, przeciwnie zbliżało nawet; niewinność jego dodawała wdzięku temu pierwszemu wieczorowi miłości. Po długich dniach troski, które przebyli, oboje teraz doznawali uspokojenia. Nakoniec odnaleźli siebie samych, a serca ich roztworzyły się ku silniejszemu uczuciu; wiedzieli dobrze, że miłość ich spotęgowała się w tej obawie i radości wspólnej, co wstrząsnęła nimi. Cichy, ciepły pokój stawał się ich wspólnikiem; napełniało go owo religijne milczenie, otaczające łóżko chorego. Chwilami Helena podnosiła się, szła na palcach po lekarstwo, poprawiała lampę, wydawała rozkaz jaki Rozalii; doktor tymczasem, goniąc za nią oczyma, dawał znak, by szła po cichu. Potem, kiedy siadała napowrót, uśmiechali się do siebie. Nie mówili z sobą nic, zajmowali się tylko Joanną, która była jak gdyby samą tą ich miłością. Ale czasem, kiedy poprawiali jej kołdrę lub podnosili głowę, ręce ich spotykały się z sobą i przez chwilę zapominały jedna w drugiej. Na tę jedynę pieszczotę, mimowolną i ukradkową, pozwalali sobie.

— Nie spię — szeptała Joanna — wiem, że jesteście tutaj.

Cieszyli się, słysząc ją mówiącą. Ręce ich rozdzielały się, nie mieli innych pragnień. Dziecię zaspokajało ich i uspokajało zarazem.

— Dobrze ci, kochanko? — pytała Helena, widząc, że się poruszyła.

Joanna nie zaraz odpowiadała. Mówiła jak we śnie.

— O, tak, nic nie czuję... Ale słyszę was, to mi robi przyjemność.

Po chwili, dobywając sił, podnosiła powieki i patrzyła na nich. I anielsko uśmiechała się znowu, przymykając oczy.

Nazajutrz, kiedy ksiądz i pan Rambaud przyszli, Helena uczuła się zniecierpliwioną. Zawadzali w jej szczęściu. A kiedy drżąc z obawy, by nie usłyszeć złych wieści, rozpytywali ją, była na tyle okrutną, że powiedziała im, iż Joanna nie lepiej ma się. Mówiła to bez zastanowienia, parta samolubną potrzebą zachowania dla siebie tylko i dla Henryka tej radości, że ją uratowali i że sami tylko wiedzieli o tem. Dla czego miała dzielić się ze swem szczęściem? Należało ono do nich, do nich jedynie, i zdawało się jej, że zmniejszyłoby się, gdyby ktokolwiek je znał. To tak jak gdyby ktoś obcy wmięszał się do jej miłości.

Ksiądz zbliżył się do łóżka.

— Joanno, to my, twoi przyjaciele... Nie poznajesz nas!

Poważnie potrzęsła głową. Poznała ich, ale nie chciała rozmawiać i zamyślona, wzrokiem porozumienia spoglądała na matkę. Poczciwcy odeszli zrozpaczeni więcej niż kiedy.

W trzy dni potem. Henryk pozwolił chorej zjeść pierwsze jajko na miękko. Ogromna ztąd urosła sprawa. Joanna chciała koniecznie zjeść je przy drzwiach zamkniętych, w obecności tylko matki i doktora, a że właśnie pan Rambaud wszedł był na tę chwilę, szepnęła na ucho matce, która rozkładała już na łóżku serwetę w miejsce obrusa:

— Zaczekaj, jak on wyjdzie.

A kiedy się oddalił, rzekła:

— Zaraz, zaraz... To daleko milej, kiedy nie ma gości.

Helena posadziła ją; Henryk podsunął z tyłu dwie poduszki dla podtrzymania jej. Z serwetą rozłożoną, z talerzem na kolanach, Joanna czekała z uśmiechem.

— Zbiję ci jajo, dobrze? — spytała jej matka.

— Tak, dobrze, mamo.

— A ja ukroję ci trzy kawałeczki chleba — rzekł doktor.

— O! cztery, zjem cztery, zobaczysz.

Mówiła teraz doktorowi ty. Kiedy podał jej pierwszy kawałek, chwyciła jego rękę, a że zatrzymała była jeszcze rękę matki, całowała je obie, przenosząc usta z jednej na drugą z równie namiętnem uczuciem.

— Dosyć tego, bądź rozsądna — rzekła Helena, widząc, że dziecko bliskie jest płaczu; — jedz twoje jajko, a zrobisz nam przyjemność.

Joanna zabrała się do jedzenia; ale tak była słaba, że za drugim kawałkiem już uczuła zmęczenie. Uśmiechała się za każdym kęskiem, mówiąc, że ma zęby miękkie. Henryk zachęcał ją, Helena miała łzy w oczach. Mój Boże! widziała jak dziecię jej jadło! Spoglądała na chleb; pierwsze to jajko rozczulało ją. Nagła myśl o Joannie martwej i sztywnie leżącej pod prześcieradłem, przeszyła ją mrozem. Dziecię jej jadło, jadło tak ładnie, z tymi powolnymi ruchami, z tą niepewnością ruchów istoty, przychodzącej do zdrowia!

— Nie będziesz się gniewała, mamo... Robię, co mogę, to już trzeci kawałek... Czyś zadowolniona?

— O, bardzo, moja najdroższa... Nie pojmujesz nawet, jaką radość mi sprawiasz.

I w zbytku szczęścia, które ją przygniatało, zapomniała się i oparła o ramię Henryka. Oboje śmieli się do dziewczynki. Ale ta zaczęła się mienić, jak gdyby cierpienie jakieś powoli ją dotykało; ukradkowo podnosiła oczy, spoglądając na nich, potem spuszczała głowę, przestała jeść, a cień nieufności i gniewu okrył twarz jej bladością. Trzeba było położyć ją napowrót.

(C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 12. września.

Kronikę wypadków odznaczających się niezwykłą grozą miesiąc wrzesień zapisze do działu takich, które nie prędko wymażą się z pamięci ludzkiej. Taka powódź i zniszczenie Miskolcza na Węgrzech, takie zatonięcie statku Alice na Tamizie, gdzie około tysiąc ludzi znalazło gwałtowną śmierć w nurtach wody, cokolwiek upakarza butę wszechwładnej dumy ludzkiej, której się zdawało, iż opanowała już wszystkie niszczące żywioły i zabezpieczyła sobie osobiste bezpieczeństwo. W wigilię jednej i drugiej katastrofy nie śniło się nikomu, że komedya życia ludzkiego tak blisko graniczy z tragicznem zakończeniem... przyszła jedna chmura — a całe miasto w gruzach, nastąpiło jedno uderzenie statku — a w pięć minut ośmset ludzi znalazło w oczach kilkumilionowego Londynu śmierć w nurtach brudnej Tamizy. U nas we Lwowie wprawdzie Pełtew trzymała swój poziom w przyzwoitej wysokości, żaden ze spacerowych statków na Kisielkowskim stawie nie zatonął, lecz w kronice miasta mamy do zapisania fakt bardzo smutny, a tym jest śmierć księcia Leona Sapiehy, osobistości zanadto wybitnie rysującej się na tle dziejów miasta Lwowa i całej Galicyi, aby strata jego nie obudziła powszechnego żalu i nie sprowadziła rzetelnego smutku. Książę Leon trzymał niejako moralny patronat nad Lwowem, i mimo odsunięcia się zupełnego w latach ostatnich od spraw publicznych, dom jego stanowił pewnego rodzaju

ognisko działalności narodowej, na który mimowoli oglądano się zawsze we Lwowie. I rzeczywiście książę Leon Sapieha jakkolwiek potomek jednej z najdawniejszych rodzin polskich, przez długoletnią działalność swoją, czy to na polu politycznem, czy ekonomicznem, zajmował zupełnie odrębne od reszty arystokracyi naszej stanowisko. Nie korzystając z przywileju jaki mu urodzenie i sytuacya majątkowa nadawały, potrafił być prawdziwie polskim obywatelem kraju nie narzucając mu się na przewodnika z gotowym programem w ręce, ani też usiłując zbawiać go wbrew jego woli i chęci. Obdarzony niezwykłemi zdolnościami, był wszędzie pierwszym, gdzie szło o ratowanie sytuacyi ekonomicznej i narodowej, a jeżeli nie zawsze skutek pomyślny uwieńczył jego starania — wina w tem nie leżała po jego stronie. Książę Leon Sapieha nie będzie potrzebował składkowego pomnika; takie instytucye, jak Towarzystwo kredytowe ziemskie, Kasa oszczędności, Towarzystwo rolnicze, Dublany i wiele innych pożytecznych instytucyi, będą najtrwalszym działalności jego pomnikiem. Trzeba szczególniejszego trafu, że przeznaczonem mu było zakończyć swój żywot właśnie na parę dni przed otwarciem tego Sejmu, który on przez czternaście lat zagajał, i że ten Sejm cały jakby umyślnie zebrał się teraz dla oddania ostatniej czci dawnemu przywódzcy swemu. O ile słyszeliśmy, na sobotę wybierają się wszyscy reprezentanci Galicyi do Krasiczyna na pogrzeb, którym towarzyszyć będzie serdeczny żal całego Lwowa nad stratą obywatela dobrze zasłużonego i miastu i ojczyźnie. Cześć i wdzięczność jego pamięci!

Drugi fakt również smutnej natury, musimy przypomnieć czytelnikom, a tym jest sprowadzenie zwłok z Ameryki dzielnego także pracownika na niwie ojczystej. W tych dniach odbył się pogrzeb w Wróblewicach śp. hr. Władysława Tarnowskiego, który przed paru miesiącami znalazł śmierć na okręcie, płynąc z Japonii do St. Francisco w Ameryce północnej.

Dość o smutkach; przewróćmy medal na drugą stronę, a znajdziemy się odrazu we Francyi wśród ośmnastego wieku... Żółta karoca na kształt bomby obsadzona służbą Ludwika XIV. jedzie do katedry lwowskiej, unosząc pannę młodą do ślubu. To hrabianka Klementyna Potocka, córka namiestnika Galicyi, wstępuje w związek małżeński z młodym ordynatem na Birży hr. Tyszkiewiczem. Stara katedra lwowska, zobaczyła nad swoją bramą herby i barwy Pilawitów z Leliwitami połączone, a wewnątrz tyle wieńców, festonów, dywanów, taką ostentacyą przy ceremoniale, że biedny tłum stojący przed kościołem był olśniony tem wszystkiem. Wprawdzie oczekiwano czegoś więcej, naprzykład uczty publicznej, jakiegoś dobroczynnego datku dla biednych, ale pod tym względem doznano niejakiego zawodu, gdy się przekonano, że tylko jedna część programu z czasów ośmnastego wieku wykonaną została. Kareta i służba dobrze imitowała ówczesne pańskie obyczaje, hojność za to miała najwyraźniejszą cechę już dziewiętnastego stulecia.

W wewnętrznem życiu miasta Lwowa, nie wiele znajdujemy nowości, kursa nauk się rozpoczęły 9. września, młodzież tłumnie już kręci się po ulicach, szkoła rysunkowa również otwarta, a o ile sądzić można z dotychczasowego rocznego istnienia, ma przyszłość przed sobą i garnie coraz więcej amatorów pragnących wykształcić smak swój estetycznie. Codziennie między 4tą a 6tą wieczór odbywają się lekcye w sali muzeum technicznego, a w środy i soboty między 2. a 4. uczęszczają na specyalny kurs same kobiety. Opłata pięć złotych reńskich za czas rocznej nauki daje przystęp i najuboższym rzemieślnikom, a i od tej nawet świadectwo ubóstwa kompletnie uwalnia.

Na horyzoncie większej polityki galicyjskiej, coraz bardziej wieje wiatr od Krakowa ku Lwowowi, pan poseł Ujejski wybrany w imię idei programu lwowskiego, której powinien być wykonawcą, z tych samych rąk, które na obiór jego pracowały w Rohatynie, doznał pewnej pogróżki na nosie, aby wrócił do szkoły... Tym razem nie zapatrując się na posła Skrzyńskiego, poeta nasz okazał hart duszy trochę więcej niż poetycki — podziękował wyborcom za honor służenia im dalej za reprezentanta, dawszy maleńką naukę konsekwencyi i loice wielkich właścicieli okręgu Rohatyńskiego.

Mimo energicznego ratunku, jakim odznaczają się wszystkie rządy przy gaszeniu pożaru socyalistycznego, teorye te coraz bardziej pokazują swe głowy. Rewizye i aresztowania są wszędzie na porządku dziennym, a los trzech tysięcy broszur treści socyalistycznej skonfiskowanych na dworcu tutejszej kolei, daje dowód niezmiernej czujności władz policyjnych. Z Warszawy przychodzą coraz nowsze wieści o aresztowaniach pomiędzy młodzieżą, a przyjeżdżający ztamtąd przestraszeni są postępem, jaki tam robi socyalizm; nawet młode dziewczyny dają się wciągać do tej propagandy. Z drugiej znów strony, ze zdumieniem wielkiem czytamy wiadomość o przyjęciu powracających gwardyi moskiewskich z placu boju... Mówię wam czytelnicy, dzieły się historye nie do uwierzenia: bramy tryumfalne, wieńce, kwiaty, cechy z chorągwiami wiwaty i uniesienia takie, że aż smutno się robi czytając podziękowania i cara i gubernatora Kotzebuego za lojalność uczuć patryotycznych mieszkańców Warszawy. Gdy my tu rozbijamy sobie głowy, walcząc za całość naszej ojczyzny i piętnując politykę Moskali gnębiących naszych braci w Kongresówce, taż sama Warszawa serce Polski, bije pokłon zwycięskim wojskom z gór Bałkańskich. Co to wszystko ma znaczyć? Wprawdzie i Borszczów urządza fakelcugi i festyny.. ale.. o Ryczywole zamilczeć wolę.

Przyjeżdżający z Wiednia opowiadają nam o pokazaniu się wielkiej ilości srebra w ruchu handlowym tamtejszym, i że już doszło do tego, że kurs jego niższym jest od papierowej monety. Ci więc, którzy dawno nie oglądali srebrnych guldenów cieszyć się mogą, że ta flota przypłynie i do Lwowa niedługo, radzimy więc reperować kieszenie i cieszyć się zawczasu miłym metalicznym dźwiękiem owego srebra, którego już od lat tylu nie słyszeliśmy.

* * *

Czytamy w *Gazecie Narodowej*. Jako illustracyę eksploatowania naszych włościan przez żydów, dajemy jeden oryginalny przykład, gdzie chłop nie za osobiście zaciągnięty dług, ale za poręczenie za żyda, od drugich jego wspólników jest zagrożony wywłaszczeniem i nędzą.

Walko Kołodziej, gospodarz we wsi Huta Szczerecka podaje co następuje: W roku 1872 najął mię arędarz Jelko, aby go zawieść do Jaworowa, gdzie miał odebrać jakiś spadek. Za drogę zgodził się ze mną za 7 zł. i pół korca owsa dla koni. W drodze między naszą wsią a Szczercem, wynoszącej trzy mile, Jelko mi dawał dużo wódki, bo wiózł swoją własną, tak że przyjechajszy do Szczerca już byłem dobrze podpity. W mieście mówi mi Jelko, że nie ma ani centa i nie może dostać nigdzie, i prosi mnie abym za niego zaręczył kwotę 25 złr., które za miesiąc odda. W trzeźwym stanie byłbym tego nie zrobił, ale byłem mocno pijany, a żyd tak pięknie gadał, żem się na wszystko zgodził. Znali mię żydzi w mieście jako dosyć zamożnego gospodarza, który nigdy długów nie miał. U Henneke Rottera wypłacone zostały Jelkowi 25 zł. a mnie kazali położyć rękę do podpisu wekslu, co też uczyniłem O żadnych procentach nie było mowy.

Po upłynionym miesiącu arędarz Jelko mówi mi, że nie ma pieniędzy, i prosi abym żądał od Henneke przedłużenia. Zrobiłem to a Henneke Rotter powiedział, że to nic nie szkodzi. — Aż tu w maju 1873 zjawia się u mnie komisya sekwestracyjna na dług 76 złr., który urósł z poręczonych 25 złr — Przestraszony biegnę do Henneke Rottera i wyrzucam mu jego niegodziwość, ale ten mię zakrzyczał, i bić chciał. Podczas tego zjawia się dwóch faktorów, Weiser i Majorko i namawiają mię, aby dać spokój z Henneke Rotterem, bo z nim końca nie dójdę, on nie dobry człowiek i ma silne plecy (jakoteż już pięciu gospodarzy wywłaszczył), ale oni mię zaprowadzą do Jankla Myszel, który pożyczy potrzebne pieniądze do spłacenia Henneke Rottera, a sam i dziesięć lat z oddaniem poczeka. Udaliśmy się więc wszyscy, tj. Henneke Rotter, dwaj faktorzy i ja do Jankla Myszel, tam żydzi długo gadali, czego ja nie rozumiałem, faktory zaś, dogadując ciągle, żebym się niczego nie bał, częstowali mię wódką, tak, że wkrótce nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nic nie płaciłem bo nie miałem ani centa, ale oni mówili że nie chcą pieniędzy. To trwało od rana aż do ciemnej nocy.

Wtenczas w stanie prawie nieprzytomnym zostałem zaprowadzonym do kancelaryi pana notaryusza w Szczercu. Towarzyszyli mi Henneke Rotter i Jankiel Myszel. Ja się oparłem o ścianę, bom się ledwie na nogach utrzymać zdołał, podprowadzono mię potem do stołu, kazano się pióra dotknąć i wyprowadzono. Czy mi co czytano i jak ze schodów zszedłem, nie pamiętam. Znalazłem się przy mojej furze, stojącej o kilkanaście kroków od drzwi, tam mój sąsiad, Szymko Szlachetka, który pilnował koni, wsadził mię na furę i powiózł do domu. Usnąłem na furze zaraz jak kamień, i dopiero nad ranem, gdy fura stanęła przed chałupą, zbudzono mię i zaprowadzono do izby, gdziem spał długo jak zabity. Od tego czasu nikt mi przez cztery lata nie wspomniał o długu, byłem pewnym, że Jelko całą rzecz załatwił, bo wiele razy go się zapytywałem, to mi zawsze odpowiadał: „co się ty turbujesz, w tem nie twoja głowa, tylko moja“. Wielu ludzi we wsi to słyszało i zaświadczyć mogą.

Naraz jakby grom spadł na mnie, dostaję z urzędu zawiadomienie, że jeżeli 11. grudnia 1877 r. nie zapłacę sumy 198 zł., która wyrosła z 25 zł. pożyczonych 1872 r. od Jankla Myszel, to mój grunt składający się z pięciu morgów, chałupa i zabudowanie gospodarskie, konie, bydło i cały dobytek zostanie sekwestrowany. Zrozpaczony lecę do Jelka, ale ten się schował, a zbankrutowawszy na arędzie, siedzi na bruku

i udaje, że nic nie ma.—Udałem się do Szczerca, a wypędzony z domu pana notaryusza, poszedłem do Jankla Myszel. W obawie śmiertelnej, aby wszystkiego nie stracić, bo zrozumiałem, że się spiknięto na moją zgubę, przystałem na ugody z Janklem, aby mu zaraz zapłacić 42 zł., które dostałem sprzedając moje woły, resztę zaś miałem spłacać ratami, jak będę miał z czego. — Parę miesięcy miałem spokój, aż tu w ostatnich zjawia się u mnie Henneke Rotter, mówiąc że on nabył od Jankla Myszla mój dług, i żebym mu zapłacił, inaczej mię wypędzi z gruntu. Nie chce mi nawet powiedzieć, wiele mu mam zapłacić, chociaż otrzymałem od Jankla kwit na zapłacone 42 zł. — Jelko zaś, za którego pokutować muszę, śmieje się i ucieka odemnie, a gdy go spotkam, niechce ze mną nawet gadać.

Tak więc za 25 zł., za które zaręczyłem w nietrzeźwym stanie przed laty sześciu na korzyść żyda Jelki, a z których nie korzystałem ani centa, nie tylko że miałem tysiączne przykrości i koszta, nie tylko, że musiałem sprzedać woły i zapłacić 42 zł., ale jeszcze cały dobytek mój, całe życie mojej biednej żony i moich dzieci wisi na włosku. — Za prawdziwość mojego podania mogę przysięgą ręczyć, jakoż to wszystko całej gminie jest wiadomo.

Z WYSTAWY OBRAZÓW.

Malarstwo polskie kwitnie za granicą, i ktoby chciał poznać największe ognisko artystycznego ruchu polskiego w dziedzinie malarstwa, musiałby jechać nie do Warszawy, nie do Lwowa, nawet nie do Krakowa, tylko do Monachium. Przyczyny tego są rozmaite: naprzód bogate zbiory artystyczne, potem wysoki stan nauki w monachijskiej akademii sztuk pięknych, wreszcie ta trzecia i najbardziej może znacząca okoliczność, że Monachium jest jednym z najważniejszych rynków dla produktów malarstwa. Artysta, wymalowawszy tam obraz, w który włożył wiele talentu, pracy i pieniędzy, może być pewnym, że obraz ten bardzo krótko będzie dlań martwym kapitałem i bardzo prędko znajdzie nabywcę. Gdyby taki obraz wystawił ów artysta we Lwowie, to naprzód, aby zwrócić tu na siebie zasłużoną uwagę, musiałby się przedtem postarać o sławę, a przynajmniej o reklamę za granicą, powtóre musiałby czekać lata na nabywcę i możeby go w końcu nie znalazł. U nas bowiem stopień ukształcenia i estetycznego uszlachetnienia warstw bogatszych nie sięgnął jeszcze w granice czystego zamiłowania w sztuce i daleko więcej jeszcze pociąga nas blask ekwipażów, niżeli blask talentu bijący z płótna.

To jest główna przyczyna, dla czego wystawa lwowska jest zwykle tak ubogą, pomimo iż nie brak nam gdzieindziej znakomitych malarzy. Tegoroczna jest może jeszcze uboższą od dawniejszych, jakkolwiek z drugiej strony należy przyznać, że jeśli nic w niej wysoko nad granicę mierności nie wybiega, to z drugiej strony nie ma w niej tak krzyczących i obrażających zmysł smaku artystycznego obrazów, jak n. p. owa przeszłoroczna przesławna „Uczta Wierzynka.“

Tego roku malarstwo historyczne jest szczęściem reprezentowane tylko przez p. Wojciecha Gersona. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, żebym był wielbicielem talentu pana Gersona, ale chcę tylko to wyrazić, że nasze historyczne malarstwo po za Matejką i Siemiradzkim produkuje tak liche utwory, takie manekiny w strojach średniowiecznych, że im mniej tego rodzaju obrazów na wystawie, tem lepiej. Obrazy Gersona, o których mowa, przedstawiają: „Pomorzanina rozbrojonego przez dwie Mazurki“ i „Świętą Jadwigę wchodzącą do sali sądowej.“ Oba te obrazy, a raczej obrazki są owocami fantazyi tworzącej na zimno, którą zlepia szczegóły jedne do drugich i stara się potem je usprawiedliwić. Widz tu stoi zimny przed temi płótnami, żadnych nie obudzają w nim wspomnień, żadnych myśli, i co najwięcej zadaje sobie pytanie, co też przyszło do głowy temu malarzowi wybierać podobne temata, jakby świat dokoła niego był pusty i życie nie nastręczało tyle zwyczajnej, prostej a głębokiej treści. Jeszcze Pomorzanin, ten przynajmniej nie ma wielkich pretensyi; są tu dwie dziewki dorodne i tęgie z otwartemi ustami, i jakiś człowiek w stroju gajowego ze związanemi z tyłu rękami, pochylający się, co prawda, nie wiadomo po co: oto i wszystko. Tymczasem w Świętej Jadwidze mamy tam mnóstwo figur, a raczej figurek, ma na scenie tortury, i oprawców z wyrazem urzędowego okrucieństwa, i sędziów, i nieszczęśliwych wleczonych przed straszny trybunał a załamujących po drodze ręce i najnieszczęśliwszego ze wszystkich, który jakkolwiek brany na torturę, wyprawia jednak nogami jakieś produkcye w rodzaju kozaka. Ale gdzież ta święta Jadwiga nadająca tytuł obrazowi? Autor umieścił ją na samym końcu obrazu, przed drzwiami sali, dla tego tylko, jak się zdaje, ażeby módz ją opromienić światłem słonecznem i tym sposobem usymbolizować jej świętość. Sto razy lepiejby było, gdyby artysta tę świętość wyraził w niej samej, w jej twarzy, w jej postawie, a nie w zewnętrznem oświetleniu, które nawet nie pozwala odróżnić dobrze rysów twarzy.

Rodzajowe malarstwo jest obficie reprezentowane. Franciszek Streitt nadesłał aż trzy swoje utwory: „Babunia,“ obraz większych rozmiarów i dwa mniejsze: „Kuracya lalki“ i „Pierwsze kroki.“ „Babunia“ jest ilustracyą dobrze znanej poezyi Andersena, przedstawia zatem staruszkę o gołębim wyrazie twarzy, która przeglądając w książce do nabożeństwa zasuszone kwiatki, pamiątki dawnej młodości i miłości, wśród tych wspomnień lekko, niepostrzeżenie usypia snem wiecznym. Jest bez zaprzeczenia dużo poezyi w tym obrazie, ale nie jest też on wolnym od zarzutów. Naprzód postać babki jest niepomiernie wysoką, a raczej długą w stosunku do twarzy, która się dziwnie maleńką wydaje; powtóre nie można sobie zdać sprawy z zewnętrznego oświetlenia za oknem, przypominającego zielony ogień bengalski. Nareszcie ten piesek u dołu bawiący się jakąś torebką strasznie trąci manieryzmem. W „Pierwszych krokach“ postać dziewczynki, prowadzącej dziecko do matki, jest szczęśliwie narysowaną, ugrupowanie bardzo dobre, ale stereotypowy ruch ust na wszystkich twarzach sprawia komiczne wrażenie. „Kuracya lalki“ nie odznacza się ani świeżością pomysłu, ani świetnością wykonania. (C. d. n.) *J. T.*

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Bączalski Edmund.* Arytmetyka dla użytku niższych klas gimnazyalnych, podług 19. wydania dra Franciszka Mocnika. Część I. na I. i II. klasę gimn. Drugie przejrzane wydanie. 8ka, str. 239. Lwów 1878. 1.50.

— *Barthels Artur.* Tydzień poleski. Ustęp z życia myśliwskiego na Litwie. 8ka, str. 69. Lwów 1878. 1.50.

— *Drwęca.* Naścia Drewlanka. Legenda z podań nadsłuczańskiego ludu wysnuta, 4° str. 28. Kraków 1878. 60 ct.

— *Klun dr. V. F.* Geografia powszechna. Podręcznik wedle pierwotnego tłumaczenia L. Germana i R. Starkla przejrzał i ponownie wydał Romuald Starkel. 8ka, str. 313. Lwów 1878. 2.10.

— *Kraszewski J. I.* Ada. Sceny i charaktery z życia powszedniego 3 tomy. 8ka, str. 259. 252. 243. Wilno 1878. 4 złr.

— *Lukas Stanisław.* Erazm Ciołek. Biskup płocki (1503—1522). Dyplomata polski XVI wieku 8ka, str. 114. Warszawa 1878. 1.20.

— *Mattei hr.* Elektryczno-homeopatyczna metoda leczenia, jej środki i zastosowania. Z przedmową i listami hrabiego oraz nowemi wskazaniami o leczeniu raka, o dozach i o chorobach syfilistycznych tłum. z francusk. z portretem hr. Mattei i widokiem jego zamku „la Rochetta“. 8ka, str. 234. Kraków 1878. 2 złr. 50 ct.

— *Mecherzyński Karol dr.* Przykłady i wzory z najcelniejszych poetów i prozaików polskich zebrano i zastosowano do historyi literatury polskiej opowiedzianej w krótkości dla młodzieży. Wydanie drugie przejrzane i powiększone. Tom I. 8ka, str. 617. Kraków 1877. 1.85. Tom II. 8ka, str. 651. Kraków 1878. 2 złr.

— *Mickiewicz Adam.* Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie. Historya szlachecka z r. 1811 i 1812. 8ka, str. 363. Paryż i Kraków 1878. 1 złr.

— *Nieprzejednane kierunki.* Przełożył z rosyjskiego E. L. 8ka, 53. Poznań 1878. 30 ct.

— *Pamiętnik Towarzystwa tatrzańskiego.* Tom III. 4° str. 150. Kraków 1878. 2 złr.

— *Reben F.* Wypisy niemieckie dla szkół średnich. Wydanie III. 8ka, str. 280, 54. Kraków 1878. 1.30.

— *Rylski Tomasz.* Sprawozdania z wystawy rolniczej i przemysłowej we Lwowie 1877. Zeszyt I. „Narzędzia i machiny rolnicze, grupa 5. 15. (z 33 rycinami w tekscie) 8ka, str. 98. Lwów 1878. 1.20.

— *Śpiewnik polski.* Tomik III. (Biblioteki Mrówki tomik 63) zawiera piosnki miłości. 16ka str. 96. Lwów 1878. 20 ct. Na lepszym papierze 30 ct.

— *Welter.* Dzieje powszechne skrócone przełożył na język polski Zygmunt Sawczyński. Część I. Dzieje starożytne. Wydanie IV. 8ka, str. 148 i XVIII. Kraków 1878. 70 ct.

— *Wypisy polskie* dla klas niższych c. k. szkół gimnazyalnych i realnych. Tom II. wydanie czwarte. 8ka, str. 160. Lwów 1878 za całość 1 złr. To samo tom III. wydanie czwarte. 8ka, str. 160. Lwów 1878 za całość 1 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.



Dnia 11. Września r. b. zakończył życie w Krasiczynie

ks. LEON SAPIEHA

żołnierz wojsk polskich z r. 1831.

mąż, któremu część Polski zostająca pod rządem austryackim, winna nieledwie wszystko, co tylko osiągnęła na polu ekonomicznem, społecznem i politycznem.

Życiorys tego zasłużonego Ojczyźnie męża podamy w najbliższym czasie.

Literatura, sztuka i nauka

*** Wyszedł wrześniowy zeszyt *Ateneum* i zawiera następujące artykuły: 1.) „Herbert Spencer,“ przez Władysława Kozłowskiego; 2.) „Barometr w stosunku do pogody,“ przez A. Pietkiewicza; 3.) „Powódź,“ powieść Fryderyka Spielhagena, w skróceniu opowiedziana przez Wincentę Limanowską; 4.) „Dawne drogi i szlaki na prawym brzegu Dniepru,“ przez Edwarda Rulikowskiego; 5.) „Francya dawniejsza,“ (ocena historyi Taine'a); 6.) „Listy z podróży Antoniego Edwarda Odyńca,“ przez Piotra Chmielowskiego; 7.) „Sztuka na wystawie powszechnej w Paryżu,“ przez Antoniego Sygietyńskiego; 8.) „Kongres leśny w Warszawie,“ przez Juliana Łopickiego.

*** Siódma powieść J. I. Kraszewskiego z cyklu historycznych opuściła już prasę.

Tytuł jej „Dunin.“

*** *Gazeta Warszawska* umieszcza dalszy szereg „Wędrówek po pracowniach artystów polskich,“ pisanych przez jej wybornego rzymskiego korespondenta Wł. Kulczyckiego.

*** Znany hellenista Kaźmierz Kaszewski dał nam sofoklesowych „Siedmiu wodzów pod Tebami“ w polskim przekładzie.

Wytrawni znawcy, którzy rzecz czytali w rękopisie, wysokie przyznają jej zalety.

*** Felicyan zebrał swe znakomite przekłady obcych poetów na 155 stronicach i wydał własnym nakładem.

Publikacyi tej wszakże nie dopuścił autor do handlu księgarskiego.

Otrzymały ją jeno biblioteki polskie, kilkanaście zaś egzemplarzy dostało się przyjaciołom pieśniarza, bardziej czułym na bogów mowę...

*** Słyszeliśmy, że ktoś tłómaczy nader zajmującą nowelkę p. t. „Złowieszcza miłość.“

Jestto ostatni utwór Julii Kawanagh, zmarłej w ciągu bieżącego roku w Nicei.

*** Akademia umiejętności w Krakowie, wydała świeżo swym nakładem następujące dzieła: „Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie, tom III.“ „Pomniki dziejowe wieków średnich, do objaśnienia rzeczy polskich służące“, tom IV. zawiera najstarsze księgi miasta Krakowa od r. 1300 do 1400; „Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie“ rok 1878; „Rozprawy i dzieła“ wydane przez Akademią Umiejętności w Krakowie, w ciągu pierwszego pięciolecia 1873—1878, spisał porządkiem abecadłowym dr. Władysław Wisłocki; Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filologicznego Akademii Umiejętności,“ tom VIII.

*** II. Konkurs lwowski imienia hr. Aleksandra Fredry.

Fundusz konkursowy stanowi kwota 900 złr., z której 600 złr. przyznane będą najlepszej komedyi, wypełniającej cały wieczór, a 300 złr. drugiej po niej najlepszej komedyi, bez oznaczenia liczby aktów.

Termin ostateczny do nadsyłania utworów ustanawia się dzień 1. lutego 1879

Przyznanie nagród odbędzie się w następujący sposób:

Utworzone będą dwie komisye. Zadaniem pierwszej będzie odczytać utwory nadesłane i zasługujące na przedstawienie polecić do odegrania na scenie lwowskiej. Komisya ta składać się będzie z reprezentantów dziennikarstwa i z artystów sceny lwowskiej.

Utwory polecone przez tę komisyą będą kolejno przedstawiane na scenie lwowskiej w miarę ich nadsyłania i polecania przez komisyą, w każdym razie nie prędzej jak od 1. października 1878 zacząwszy, a nie później jak do końca maja 1879.

Druga komisya złożona z członków komitetu artystycznego, wysadzonego przez Wydział krajowy dla sceny lwowskiej, z przybraniem pp. Jana Aleksandra Fredy i Jana Dobrzańskiego, obecna na przedstawieniach sztuk poleconych po odegraniu ich przyzna dwom najlepszym komedyom nagrody powyżej wymienione

Autorowie wszystkich na konkurs nadesłanych a poleconych do przedstawienia i przedstawionych utworów otrzymają 8% tantiemy od dochodu brutto z pierwszego przedstawienia a po 5% od następnych.

Rezultat konkursu ogłoszony będzie dnia 15. maja 1879.

Do każdej nadsyłanej sztuki ma być przyłączone nazwisko autora w opieczętowanej kopercie, opatrzonej zewnątrz tym samym napisem lub znakiem, którym oznaczona sztuka sama.

Tajemnica nazwisk autorów ustaje z dniem ogłoszenia rezultatu. Odnosi się to i do autorów, których sztuki były zalecone do grania i przedstawiane ale nie uzyskały nagród.

Utwory należy nadsyłać pod adresem: Dyrekcya teatru polskiego we Lwowie.

Dyrekcya teatru polskiego
we Lwowie
Jan Dobrzański.

Wiadomości ekonomiczne.

*** Wystawa pszczelnicza i ogrodnicza i walne zgromadzenie galicyjskiego Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego. W myśl ustawy obowiązującej i na zasadzie uchwały Rady Ogólnej Galicyjskiego Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego z d. 25 marca rb. odbędzie się w dniach 23. i 24. września rb. w Brodach walne zgromadzenie galicyjskiego Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego w połączeniu z wystawami instrukcyjną i konkurencyjną.

Zadaniem wystawy w pierwszym rzędzie jest zbliżyć do siebie o ile możności wszystkich pracujących w jednym kierunku dla wzajemnego dobra i pożytku i poznać się nawzajem, obliczyć i ześrodkować wszystkie rozproszone siły pracujące w jedno ognisko, w celu wspólnej pracy i wyzwolenia się z zależności zagranicy.

Bezpośredniem następstwem takiego zbliżenia się jest: 1) coraz dokładniejsze poznanie płodów ogrodniczych (sadowniczych) i pszczelniczych naszej ziemi, iżbyśmy dowiedzieli się, co mamy w domu i za to co mamy u siebie, nie wywozili bezpotrzebnie za granicę pieniędzy, których nie mamy za wiele; 2) uprawa i przeróbka na miejscu płodów ogrodniczych (sadowniczych) i pszczelniczych, której nie mamy, a które uprawiać i przerabiać u siebie możemy: gdyż temi tylko sposobami możemy wyzwolić się od zależności zagranicy i stanąć o własnych siłach.

Jeżeli w krajach w szczęśliwszych warunkach ekonomicznych się znajdujących peryodyczne wystawy najrozmaitszych gałęzi pracy uznano za niezbędne, to w takich krajach jak nasz, w których nauki i przemysł daleko w tyle się pozostały, wszelkie zgromadzenia i wystawy są najwyższą koniecznością i jednym z nielicznych środków doścignięcia zachodniego postępu.

Główną przyczyną, dla której wszystkie prawie dotychczasowe nasze wystawy nie w zupełności odpowiadały swemu zadaniu, byli zarówno właściciele większej posiadłości, którzy mylnie uważali je za rzeczy mniejszej wagi, jako też i mniejsi właściciele, którzy bądź z nieświadomości, bądź też z grzesznej obojętności nie popierali i nie obsyłali wystaw, chociaż od postępu ogrodnictwa (sadownictwa) i pszczelnictwa w znacznej części dobrobyt całych mas zależy.

*** Zarząd centralny galicyjskiego Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego ma zaszczyt zawiadomić wszystkich interesowanych, że dla wszystkich biorących udział, bądź w walnem zgromadzeniu gal. Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego, bądź też w wystawie pszczelniczo-ogrodniczej, uzyskał Zarząd centralny na krajowych kolejach żelaznych zniżenia następujące: na liniach Karola Ludwika, Czerniowieckiej, Tarnowsko-Leluchowskiej, Karola Albrechta i Naddniestrzańskiej o 50%; na liniach zaś Północnej ces. Ferdynanda i Węgiersko-Galicyjskiej o 33%.

O karty zniżenia zgłaszać się należy do Zarządu centralnego, ulica Łyczakowska l. 4 we Lwowie, a z przesyłką przedmiotów na wystawę przeznaczonych do Wgo Bronisława Kaz. Witosławskiego w Brodach, kładąc na czele adresu napis: „Wystawa brodzka;“ co zarówno ze względu na tameczny urząd celny, jakoteż i na władze kolejowe jest niezbędnem.

Statystyka.

*** Niedawno ukazał się 55-ty zeszyt dopełniający wiadomości geograficznych Pettermana; zawiera on piątą z ważnych tablic zaludnienia ziemi, ogłaszanych przez Brehma i Wagnera. Według tych tablic ogólna ludność ziemi wynosi 1,430,145,300 ludzi, w następny sposób dzielących się między oddzielne części świata:

Europa liczy 312,393,480 mieszkańców na przestrzeni 989,619,700 hektarów, co daje 31,6 mieszkańców na kilometr kwadratowy, czyli 105 hektarów.— Azya 831 milionów mieszkańców na 4,482,800,000 hektarów, t. j. 18,5 m. na kilometr kwadr. — Afryka 205,219,500 m. na 2,993,244,800 h., t. j. 6.9 m. na kilometr kw. — Ameryka 86,116,000 m na 4,093,850,000 h., t. j. 2,1 m. na kilometr kwad.— Oceania 4,411,300 m. na 886,562,000 h., t. j. 0,5 m. na kilometr kw.

Ogół ludności ziemskiej wynosi, jak wyżej, 1,439,145,300 m. na 13,446,077,000 hektarach, zkąd na kilometr kwadratowy czyli 100 hektarów wypada 10,7 mieszkańców.

*** Biuro statystyczne niemieckie komunikuje o wypadkach samobójstwa w Prusach nadzwyczaj interesujące szczegóły, które mogą być uważane za nowy dowód, że zjawiska tej kategoryi, podobnie jak wszelkie inne, ulegają pewnym niezłomnym prawom.

Oto tablica z lat 1869—1876:

odebrało sobie życie,

w r. 1869	mężczyzn	2,570	kobiet	616
— 1870	„	2,354	„	629
— 1871	„	2,183	„	540
— 1872	„	2,363	„	887
— 1873	„	2,216	„	610
— 1874	„	2,527	„	548
— 1875	„	2,683	„	595
— 1876	„	3,189	„	728

Widzimy ztąd, iż poczynając od r. 1873 liczba samobójstw ciągle wzrasta i w 1876 dosięga tego rozmiaru, co we Francyi w 1874 i 1875 r. Przypada więc 15 samobójstw na 100 tysięcy mieszkańców. Prawidłowość uwydatnia się nietylko w samej liczbie i jej podziale między osoby obojga płci; ale nadto w wyborze miejsca, czasu i środków zabójczych. Dowiedziono cyframi, że mężczyźni przeważnie się wieszają, a samobójczynie chwytają się z równą skwapliwością zarówno postronka jak wody. Odbieranie sobie życia przez wystrzał z pistoletu jest w ogóle u mężczyzn tak częstem jak i topienie się. Trucizna wreszcie i nóż, jako środek do podrzynania gardła, równoważą się mniej więcej w wykazach statystycznych.

ROZMAITOŚCI.

*** Z mody.

Paryżanki noszą w tej chwili rzeczy przejrzyste, lekkie.

Partya nr. 38 na wystawie, poświęcona tualetom damskim, pełna jest studyjących krawiectwo w tej nowej jego fazie.

Nawet wielkie damy rozstają się z jedwabiami i ciężkiemi materyami.

I tak n. p. pani admirałowa Pohhau na balu w ministeryum marynarki miała suknię z białego pekinu z kamizelką kroju Ludwika XV ze śnieżnej feli.

Akacye zdobiły gors jej i włosy.

Ton biały panuje wszędy, przyczem krynolinka lub demipanier coraz więcej bywają noszone, zwłaszcza przez kobiety czeszące się à la Dubarry, lub à la Marie Antoinette.

Piękna Amerykanka mis Mackay wystąpiła niedawno przy wyścigach w białej polonezie, z bogatym haftem vieil argent, rzuconej na suknię spodnią z białej również feli spoczywającej na soupçon de panier.

Krój z czasów Ludwika XV. stosowny jest teraz do ceremonialnych tualet.

Nowością dla ulicy są małe mantylki z plecionego jedwabiu garnirowane piórami, hiszpańskiemi frendzlami lub koronką.

*** To, co niżej opowiemy, działo się na wsi.

Państwo X. są ludźmi wielce arystokratycznych pojęć.

Córeczka ich przejęła się przekonaniami rodziców.

Każdy młody człowiek, który się do niej zbliża, musi przejść pierwej przez surowy egzamin co do swego rodowodu, stosunków rodzinnych i td.

Egzaminującym bywa zwykle ojciec panienki i następnie daje córce instrukcye, w jaki sposób ma traktować młodego człowieka.

Pewnego razu w towarzystwie przedstawił się pannie X. młody człowiek z nader plebejuszowskiem nazwiskiem.

Ojciec wnet zasięgnął o nim informacyi i do-

wiedział się, że młodzieniec ów jest „doktorem praw“, ale... synem ekonoma.

Gdy doszło to wiadomości panny, ta „zrobiła mu afront“ w następujący sposób:

Ujrzawszy, że stoi nieopodal, zwróciła się do swej towarzyszki z następującemi słowami:

— Czy uwierzysz, moja droga, że wcisnęło się tu jakieś pospólstwo... syn ekonoma?...

Młodzieńcowi uderzyła krew do głowy; zwrócił się żywo do panny X. i w kilku słowach, wyrzeczonych głośno, przypomniał jej niezbyt miły epizod w jej życiu...

Ztąd skarga o potwarz i obelgę do sądu.

Młodzieniec twierdził stanowczo i dowiódł, że mówi prawdę; zresztą bronił się tem, iż sam został obrażony.

Sąd uznał go za niewinnego.

Miłą ta sprawa narobiła wiele hałasu w okolicy!

*** Straszny wypadek zdarzył się w Baltimore. Młody doktor Kinneth zwiedzając codziennie zakład obłąkanych Mats Hopital, spostrzegł młodą 18letnią dziewczynę powtarzającą łagodnie, że swemu mężowi podczas gdy spał ucięła głowę.

Doktor Kinneth zajmował się coraz bardziej chorą, a wyleczywszy ją na pozór zupełnie, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich — poślubił.

Było to w roku 1870. Przez 8 lat młodzi małżonkowie żyli z sobą szczęśliwie jak para gołąbków. Przed tygodniem ujrzano nagle panią Kinneth przebiegającą z włosami rozpuszczonemi szybko ulice i krzyczącą przeraźliwie: „Ucięłam głowę memu mężowi“. Nieszczęśliwa mówiła tym razem prawdę. W napadzie gwałtownego szaleństwa, ucięła rzeczywiście głowę doktorowi.

*** „Nie ma już teraz dobrych służących,“ powtarzała niedawno pani B., dama znana w świecie eleganckim. Wydawszy za mąż pokojówkę, nie mogła znaleźć nowej, dogodnej. Przyjęła najprzód subretkę z sercem mogącem służyć za model nowych koszar, następnie młodą dziewczynę, która co kilka miesięcy chorowała przez 15 dni.

Po tych dwóch nieszczęśliwych próbach, zarekomendowano pani B. wieśniaczkę, ale ta znowu należała do bandy złodziejów i zbójców, jak później się pokazało.

Nareszcie pani B. znalazła prawdziwą perłę, prawdziwy skarb. Nigdy jeszcze nie widziano pokojówki tak starannej, tak uprzejmej, nigdy jeszcze nie była p. B. tak troskliwie, tak pilnie obsługiwaną.

Augustyna (tak nazywała się służąca), nie oddalała się wieczór, aż pani zasypiać zaczynała, rano zjawiała się nim zadzwoniono na nią, pomagała swej pani ubierać się i zachwycała się jej wdziękami.

Jednego poranku zadzwoniono gwałtownie, a po chwili weszła Augustyna drżąca i blada oznajmiając, że kapral z dwoma żołnierzami życzy sobie pomówić z panią B.

— Wybaczy pani — rzekł wchodząc wojskowy — że ośmielam się tu przychodzić, ale dano mi rozkaz przytrzymania wojskowego zbiega, który służy u pani.

— Myli się pan, trzymam tylko dwie służące, 50-letnią kucharkę i młodą pokojówkę, która tu oto stoi.

— To właśnie — rzekł kapral, patrząc na Augustynę i na rysopis trzymany w ręku — no, młody człowieku, chodź z nami.

HISTORYJKI DYPLOMATYCZNE.

II.

HR. ANDRASSY.

(Z francuskiego).

(Dokończenie).

III.

Gdy hr. Andrassy otrzymał tekę spraw zagranicznych, wszystko się składało na to, ażeby się stał ministrem jeżeli nie wielkim, to przynajmniej szczęśliwym. Opinia, jakiej używał wtedy w obu połowach monarchii, nasuwa na myśl określenie wziętości Lafayette'a jakie dał Guizot: Powaga jego we Francyi pochodzi w większej części z wielkiej popularności, jakiej, sądzono, że używa w Ameryce; w Ameryce zaś popularność jego opiera się na tem że widziano w nim jednego, z ulubieńców francuskiego ludu.“ To samo było z hr. Andrassym. W Węgrzech było więcej osobistości również popularnych, nie było wszakże tak poważanej; albowiem wyobrażano sobie, że on jeden posiada tajniki polityki austryackiej. W Austryi przeciwnie, poważano go jako popularnego reprezentanta Węgier. Do tego przyłączyły się uczucia innego rodzaju. Dyplomaci starej szkoły austryackiej, stali się, z powodu błędów i złej wiary, przedmiotem nienawiści i pogardy. Ich tajemnice, po za któremi nie było nic, ich błędy, które jedynie własnej ich szkodziły ojczyźnie, olbrzymie ofiary jakich wymagali od kraju, nie rozumiejąc jego pierwszorzędnych interesów, uczyniły z nich w oczach ludu Austryi, dowcipnego i drwiącego, postacie w rodzaju Diafoirusa Moliera. Zjawienie się człowieka popularnego, stronnika parlamentaryzmu, a nieprzyjaciela form pedantycznych, było przyjęte przez całe Cesarstwo jako zwycięstwo zdrowego rozsądku nad dyplomatyczną rutyną.....

Było to w Berlinie, podczas konferencyi 1876 r. Trzej kanclerze zebrali się w pałacu ks. Bismarka. Pierwszego dnia nie przyszło do żadnego rezultatu, albowiem kanclerz rossyjski prawie ciągle sam tylko mówił. Nazajutrz miała miejsce druga konferencya, przy której byli obecni dwaj wysocy urzędnicy ministeryum spraw zagranicznych. Ks. Bismark obiecał hr. Andrassemu, że pozwoli ks. Gorczakowowi wygadać się do końca. Ten zaczyna i gdy mowa jego znowu się przewleka, ks. Bismark bierze do ręki jeden ze swych olbrzymich ołówków, i zdaje się robić nadzwyczaj czynnie notaty. Widząc to, minister rossyjski mówi z tem większym zapałem i nie przestaje, aż wybiła obiadowa godzina. Był on nadzwyczaj zadowolony z rezultatu dnia tego i wyraził nadzieję, że mu ks. Bismark na drugi dzień odpowie, i że notując jego mowę dał mu dowód uwagi, za który jest nieskończenie wdzięcznym. Kanclerz niemiecki obiecał mu to skwapliwie i starannie schował swoje notaty.

Po rozejściu się gości wszedł jeden z sekretarzy i zaczął mówić o drogocennych notatach. „Oto je masz“ rzekł niecierpliwie książę i zdziwiony sekretarz ujrzał sporo ćwiartek papieru, na których było skreślone co następuje:

P—Po—Pom—Pomp—Pompe—Pompeu—Pompeux.

Na drugich zaś stronach ćwiartek.

Pompeux—Pompeu—Pompe—Pomp—Pom—Po—P.

Zapewniają, że książę Bismark na posiedzeniach Reichstagu, często się ucieka do podobnego rodzaju przepędzania czasu.

W tem „dwoistem gospodarstwie“ ks. Gorczaków nie zawsze grał rolę godną zazdrości. Było to podczas rozmowy jego z cesarzem Franciszkiem Józefem, gdy, ażeby dowieść bezinteresowności Rosyi w kwestyi Bulgarskiej, po raz pierwszy wynurzył myśl, ażeby kraj ten zajęły wojska mocarstwa neutralnego np. Włoch. Można sobie wyobrazić jakie to czyniło na cesarzu wrażenie; zachował je wszakże przy sobie i opowiedział całą rzecz hr. Andrassemu, którego to nie bardzo wzruszyło.

Na następnej konferencyi trzech ministrów, kwestya okupacyi Bulgarskiej wyszła znowu na stół. Ks. Gorczaków powtórzył raz jeszcze, że Rosya żadnych planów ambitnych nie żywi, i że gotową byłaby zezwolić na interwencyę neutralnego mocarstwa.

— Naprzykład? — zapytuje hr. Andrassy.

— Och! każemy tam wejść Włochom — rzekł książę.

— A my — odpowiedział hr. Andrassy — my, każemy im ztamtąd wyjść.

— Po przywróceniu porządku, naturalnie.

— Nie — mówił książę — natychmiast.

I nie było już więcej mowy o okupacyi.

Ale książę Gorczaków powiedział pewnego dnia z właściwą sobie wyniosłością: "Nie chcę zagasnąć jak lampa, która filuje — lecz jako zachodząca gwiazda.“

Było do przewidzenia, że Rosya, która nie mogła dostać mandatu do zniszczenia Turcyi, ani go dać innym, sama puści się na niebezpieczeństwa. W Wiedniu, gdzie oceniano dobrze całą trudność podobnego przedsięwzięcia, nie uważano go za takie, któreby za jaką bądź cenę usunąć należało.

Podczas gdy wojska rossyjskie były już w Kiszyniewie i gdy w Konstantynopolu lada chwila oczekiwano wypowiedzenia wojny, obchodzono w Wiedniu 50-letnią rocznicę wstąpienia arcyksięcia Albrechta do służby. Wszystkie mocarstwa wysłały deputacye wojskowe na tę uroczystość. Szef deputacyi rossyjskiej, odezwał się w rozmowie do hr. Andrassy: „Bądź co bądź, nie przekroczyliśmy jeszcze Prutu.“ Nie, — odpowiedział hrabia — nie przekroczyliście Prutu, lecz przekroczyliście Rubikon.“

Od chwili owego Rubikonu, rozpoczął się dla hr. Andrassy szereg prób i kłopotów. Nie będę tu przytaczał przebiegu polityki i wojny. Są to wypadki dnia wczorajszego, a jednak zdają się należeć do oddalonej przeszłości. Po kongresie Berlińskim, który stworzył, na wschodzie zupełnie nowy porządek rzeczy, wojna rossyjsko-turecka wydaje się nam jako prolog, poprzedzający w starożytnych dramatach, sztukę.

Wiadomo, że z początku robiono Austryi nęcące propozycye, a naczelnik gabinetu wiedeńskiego zachowywał się jak drwal w bajce. Nie chciał siekiery złotej jaką mu ofiarował Merkury; nie chciał srebrnej; chciał tylko własną. Czy zostanie wynagrodzony podobnie jak drwal, któremu Merkury darował wszystkie trzy siekiery? Oto co nam bliska przyszłość rozwiąże.

W każdym razie nastąpił zadziwiający zwrot w uczuciach Węgrów względem hr. Andrassy. Ten mąż stanu, którego popularność na szczyt wyniosła, przyszedłszy do władzy — stracił ją.

Tym którzy w rozmowach z nim dotykają tego przedmiotu, przyjaciołom czy nieprzyjaciołom — odpowiada: „Przed pięcioma laty byłem najpopularniejszym człowiekiem w Węgrzech; za lat pięć, będę człowiekiem najpopularniejszym w Węgrzech i Austryi zarazem.“

IV.

W streszczeniu, człowiek którego naszkicowaliśmy przeszedł najdziwniejsze koleje, jakie mogą się zdarzyć w życiu człowieka politycznego. Nazwisko jego było przybite do szubienicy jako rewolucyonisty; dziś go widzimy na czele państwa, które od wieków uchodzi za fortecę konserwatyzmu, pomimo że hr. Andrassemu nie można zarzucić apostazyi i że państwo to nie uległo rewolucyi, należy do narodu o gwałtownych namiętnościach, sam tymże namiętnościom ulega, a jednak zadziwił świat swojem umiarkowaniem. Potęgę swą winien popularności, choć nieraz zadrasnął skłonności, idee i życzenia narodu.

Nie miałem zamiaru napisać biografii. Zresztą hr. Andrassy nie doszedł jeszcze do kulminacyjnego punktu swojej karyery, ja zaś nie chcę naśladować kobiet, które gdy bohater romansu jest interesujący, zaglądają do ostatniej stronicy, ażeby się dowiedzieć czy historya dobrze się kończy. Zamiarem moim było naszkicować tylko portret. Oryginał zmienić się może później na lepsze lub gorsze, szkic mój wszakże przedstawia wiernie wróżenie przelotne — podobieństwo chwili.

Dr. Ambroży Neményi.

Od Redakcyi.

W. K. R. w Żywcu. Nadesłany list drukowanym być nie może.

Treść Nr. 55.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) **Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.**